Nr. 15. Warszawa, dnia 28 Marca (9 Kwietnia) 1898 r. Rok XVIII.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8, z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2 kop. 50, rocznie rs. 10.

Adres: Nowogrodzka Nr. 39.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

O KUBĘ.

Tydzień ubiegły ożywiły wielce naprężone stosunki między wielką rzeczpospolitą amerykańską a Hiszpanią. Co dzień, co pół dnia zmieniała się dyplomatyczna pogoda na widnokręgu sprawy kubańskiej. W poniedziałek Mc Kinley wystosował do kongresu orędzie wraz z raportem komisyi o przyczynach wybuchu na statku przybyłym do Hawany w gościnę („Maine"); orędzie wezwało kongres do rozwagi. Wezwania tego senat nie usłuchał: zaraz we wtorek komisya jego wydała uchwałę namiętną. Tego samego dnia poseł Unii w Madrycie, gen. Woodford, odbył naradę z Sagastą wobec ministrów spraw zewnętrznych i kolonij, Gullona i Moreta. Była ona ostrą rozprawą, ale nie postawiła jeszcze pokoju nad przepaścią. W istocie Sagasta odmówił i odmowę swę przesłał do wiadomości mocarstwom. Z żądań amerykańskich (zawieszenie broni do jesieni, nieogładzanie zbiegłych ze wschodu na zachód wyspy powstańców, wyprawa na wyspę, niepodległość lub doskonała autonomia) Hiszpanie przyjęli tylko jedno: onę wyprawę serc chrześciańskich Waszyngtonu, New-Yorku i Filadelfii, jak wiadomo głęboko rozdartych nieszczęściami Kuby. Przyjęcie to, przyniesione przez telegraf, opinia w New-Yorku rozciągnęła na całość żądań—i stała się wielka radość w Jonathanie.

Nazajutrz rozwiały ją wiadomości dokładne. Wtedy nastrój wojowniczy odzyskał swe prawa do wstrząsania umysłów działających a bawienia przypatrujących się zdala temu, czego jeszcze nie było, lecz co niezawodnie „będzie." Owa uchwała komisyi w senacie, nie pierwsza i nie ostatnia w tej treści, zażądała wręcz niepodległości Kuby. Było to nowe hasło do nowych niepokojów. Mc Kinley, po owej rozmowie Woodforda zaczął się namyślać: w piątek zażądał czasu do poniedziałku — nie wiadomo jeszcze, co w poniedziałek powiedział kongresowi, ale na pewno nie zadął w trąbę wojenną. Na wszelki przypadek, dla przyzwoitości, dla pewnej logiki, jakiej dopominała się nadętość — od samego początku wprowadzona do polityki republikanów amerykańskich — minister skarbu rozpoczął rokowania z królami giełdowymi o ogromną 500-milionową pożyczkę na potrzeby wojenne. Rokowania takie, nieszkodliwe dla pokoju, i teraz pewno jeszcze trwają. Ale wojny i pod tą nawet postacią nie będzie.

Cały zatarg urozmaiciło pośrednictwo dyplomatyczne. Królowa Krystyna dawniej jeszcze napisała list do swego krewnego, cesarza austryackiego. Cesarz wziął sprawę do serca, zlecił p. Goluchowskiemu starania pojednawcze. W pewnej fazie kanclerz austro-węgierski działał razem z p. Hanotaux; w późniejszej ujęli się za pokojem posłowie Francyi i Anglii w Madrycie. Wreszcie, jakoby pobudzony przez p. Goluchowskiego, wystąpił na widownię papież. Tu doniesienia tak się powikłały, że nie wiadomo, gdzie fałsz, a gdzie prawda. Zdaje się, że Leon XIII rzeczywiście podjął naturalną swą rolę pośrednika, zapobiegającego rozlewowi krwi; ale przez zażądanie od królowej, aby kroki nieprzyjacielskie bezzwłocznie wstrzymała, nawet arcy-katolickiej Hiszpanii nie zdołał nakłonić do swej propozycyi. W Waszyngtonie udawali, że o niczem nie wiedzą. Metodystyczny, mimo konstytucyjnego wzbronienia religii wdzierania się do polityki, charakter rządów Unii wywołał niechęć do pośrednictwa papieskiego. Choćby ono nawet zupełnie skutecznem okazać się miało — gdyby je już raz obie strony przyjęły, niewielka przez odrzucenie stała się krzywda: pokój i bez papieża uratuje się sam.

Tylko nie ocali się już republikański honor. Tu od lat pięćdziesięciu występuje haniebna, nieprzyzwoita, państwa republikańskiego niegodna, pożądliwość. Stany Zjednoczone wytrwale pracują nad oderwaniem Kuby od Hiszpanii, aby ją zabrać dla siebie. Szlachetniejszą pobudką w samym początku zajaśniał tylko program wielkiego stronnictwa przeciwniewolniczego, które chciało oderwać Kubę, aby wyzwolić więcej niż połowę ludności wyspy, jęczącej w okowach możnych panów, i wyzwoleniem tem podkopać niewolnictwo u siebie, w Stanach południowych. Potem już sama tylko chciwość. Wyprawy Lopeza w latach 1850 i 1851 wprowadziły sprawę Kuby jawnie na t. zw. platformę stronnictw i samego rządu. W r. 1852 Anglia i Francya ujęły się za Hiszpanią i wymogły zobowiązanie

niedziałania na teraz, ale nie zdołały skrępować na przyszłość. Hiszpania była wiecznie od czasów Filipa II w długach. Już w r. 1853 w Stanach zabłysła myśl: kupić. W r. 1854 prezydent Pierce polecił trzem posłom: w Madrycie, Londynie i Paryżu, ułożyć kontrakt sprzedaży. Posłowie zaczęli w Ostendzie, skończyli w Akwizgranie i wypracowali słynny Okólnik Ostendzki — akt w swym rodzaju jedyny. Tu oni, republikanie, wygłosili zasadę — siła przed prawem. Nie Bismarck jest jej ojcem, nie on jej teoretykiem przednim w. XIX. Ujęli ją w słowa republikanie—sięgający po Kubę „według praw boskich i ludzkich.“ Z marzeń o Kubie nie mogły się już to „blade twarze“ — terminologii Indyan — otrząsnąć. W pięć lat później zakreślili promieniem kilkunastu stopni geograficznych „złote koło“ i znowu objęli niem Kubę. I odtąd ten taniec nie ustaje.

Tydzień polityczny Zatarg Stanów Zjednoczonych z Hiszpanią bucha płomieniem, w którym wszakże więcej dymu, niż ognia. We wtorek miał Mc Kinley wystosować nowe orędzie do kongresu.

Piniński (nie Poniński) Leon, hrabia, nowy namiestnik Galicyi, ma głowę na karku, ma i wiek pięknej, męzkiej energii, lat 41. Jest właścicielem ziemskim; z ziemi kieszeń jego czerpie przyzwoite dochody, umysł — wybitną zachowawczość. Człowiek zdolny, wykształcony, nawet uczony prawnik, dzięki naukowści swej i plecom otrzymał przed laty, tytularną więcej niż rzeczywistą, profesurę w uniwersytecie lwowskim. Życie czynne silniej go pociągało zawsze, niż umysłowe: wcześnie już został posłem na sejm i do Rady państwa. Tu zabłysnął, wybijając się przed wielu Niemców zawodowych jako rzetelna siła prawnicza: był niemalowanym członkiem komisyj prawodawczych do nowych kodeksów: karnego i procedury, włożył w nie poważną bardzo i szanowaną pracę redaktorską. O nominacyi swej dowiedział się dopiero w burgu, gdzie mu cesarz kazał stawić się prosto od roboty, bez żadnych etykiet i ceremoniałów. Hr. Thun, biorąc dobrego pracownika na urząd, który bez wielkiej pracowitości i zdolności stać się musi synekurą lub samotrzaskiem, zrobił wybór dobry dla Galicyi, a dla samego siebie tem lepszy, że mógł pominąć Stanisława Badeniego, marszałka, i tym sposobem zemścić się na Kazimierzu Badenim, za to, że w r. 1895 dał mu dymisyę z namiestnictwa w Czechach. Nowy namiestnik wyjeżdża do Lwowa 15 b. m.

Izba deputowanych Rady państwa po nagadaniu się nad programem hr Thuna odroczyła się do 20 kwietnia. W końcu tegoż miesiąca zbierają się delegacye. Wolff i Schönerer zaczynają tracić urok u swoich może tylko na chwilę. Ministrowie wspólni radzą już z prezesami i skarbnikami nad potrzebami r. 1899-go, a potrzeby roku bieżącego nie są jeszcze konstytucyjnie pokryte. Przedlitawia proponuje Węgrom stosunek wspólnych wydatków jak 64 do 36, zamiast obecnego 68.6 do 31.4. Dnia 1 maja przypada termin łaski, zostawiony przez Węgrów: Kossuthy wybuchną.

Sąd kasacyjny francuski zniósł wyrok i całe postępowanie sądowe w procesie Zoli, uznawszy wszczęcie procesu przez ministra wojny, Billota, za bezprawne. Wielkie zgorszenie w cnotliwej Izbie, a oburzenie na prokuratora kasacyjnego Manau w szeregach antisemitów. Jest to srogie zbłaźnienie się rządu, który strzegąc prawa, sam je przekroczył, Izba dała Méline'owi prosty porządek dzienny; trochę on krzywy, ale w tej rzeczpospolitej linia prosta nie ma szczęścia.

Prawo o 100 milionach przeszło i przez Izbę panów. P. Kościelski miał mowę rehabilitacyjną, ale i ta niezupełnie mu się udała. Szkoda zdolności, które się zmarnowały na milionach i świetnościach.

W Chinach jeden z cenzorów — sądzą oni nawet czyny cesarza — oskarża Li hung czanga o przekupstwo. Anglia zaczyna się kręcić około Wei-hai-wei. Jak tylko je opuszczą Japończycy, ona je zaraz pochwyci. Umowa już jest Nędza tej dzisiejszej polityki angielskiej pełną jest smutku. Telegram Agencyi północnej podaje szczegółowy opis zajęcia Portu Artura w d. 28 marca.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

ZAGROŻENI.

Warunki pracy dzisiejszej w wielkich machinoryach przemysłowych i przedsiębiorczych wytworzyły znamienne zjawisko, przypominające bardzo to, co widzimy we wszystkich maszynach i warsztatach pospiesznie działających. Kołki, szprychy, szrubki, muterki, zawiasy, ogniwa itd., zużyte, starte w pracy nieustannej, gorączkowej, idą „na szmelc,“ niema czasu na naprawienie ich; trzeba zastąpić nowemi. Tam gdzie maszyna nie sięga, gdzie do jej nawet obsługi potrzebne są oczy, ręce i nogi, dzieje się to samo: żywe kołki, szprychy, muterki, ogniwa zużyte, osłabione, muszą być usunięte, ażeby ich miejsce zajęły nowe.

W ostatnich czasach taką pospieszną i gwałtowną wymianę sił zużytych widzimy coraz częściej; stała się ona, niestety, zjawiskiem codziennem. Jest to konieczny wynik owego rozwoju techniki wielkich przedsiębiorstw: w ich interesie, a nawet ogółu, leży ta potrzeba nieustannej świeżych, produkcyjnych, pewnych sił. Takie zjawisko daje się szczególnie zauważyć obecnie w przedsiębiorstwach komunikacyjnych. Od pewnego czasu istnieje surowy rygor, ażeby pracownicy w służbie ruchu, szczególnie maszyniści i ich pomocnicy, podlegali stałym rewizyom wzroku. Jest to konieczność nader ważna. Wzrok słaby lub podlegający daltonizmowi może sprowadzić wielkie nieszczęście — zagładę i kalectwo dziesiątków i setek ludzi, a ze stanowiska interesów przedsiębiorstwa, znaczne straty. Czyż wobec tego podobna trzymać na służbie takich ludzi, dotkniętych kalectwom? Trzeba ich natychmiast i bezwzględnie usunąć z maszyny. Tak też robią przedsiębiorstwa komunikacyjne. Obecnie wchodzi w życie nowy rygor. Nakazano od d. 13 stycznia 1899 r. usunąć od pełnionych obowiązków wszystkie te osoby, u których oględziny lekarskie wykażą rozszerzenie żył w nogach. Dotknięci tą wadą, bez względu jaką pełnią czynność, czy są w służbie parowozowej, konduktorskiej lub też stacyjnej podczas przejścia i ruchu pociągów, muszą podać się

---

47)

W. DOROSZEWICZ.

SACHALIN.

Najwięksi zbrodniarze są zarazem najnamiętniejszymi graczami. Każdy stara się rozerwać i zapomnieć o swem położeniu w jakikolwiek sposób.

Widziałem zbrodniarza, który po dokonaniu prawdziwie zwierzęcego morderstwa *), szukał zapomnienia w totalizatorze.

— Grasz i nic nie czujesz! Zapominasz „o tem.“

Na szczęście dla niego, wyścigi w Moskwie bywają po 2—3 razy na tydzień. Kilka tygodni, które upłynęły przed aresztowaniem, ten nieszczęśliwy i wstrętny człowiek przeżył w odurzeniu od pijaństwa i gry.

Podczas gdy wydobywano do zbadania trupa, zbrodniarz myślał o koniach:

*) Wiktorow, który zabił w Moskwie swoją kochankę, rozrąbał i ozspecił ciało do tego stopnia, że poznać nie było można, i wysłał je koleją żelazną.

— Czy przebiegnie dystans czterowiorstowy, czy też nie?

* *

Jak się oni zachowują względem kary?

Na to pytanie o wiele łatwiej jest odpowiedzieć.

Karę traktują bardzo zwyczajnie:

Osądzono, pozbawiono praw, zesłano tutaj — i oto uważają oni wszystkie swoje rachunki za skończone i pokwitowane.

— Przecież siedmiu skór z nas nie zedrą!

Powiedziano im „idźcie zaczynać nowe życie!“

Więc starają się urządzić sobie „nowe życie.“ Takie, jakie *im* się podoba, lecz nie sprawiedliwości.

Uciec, podać się za włóczęgę i być następnie skazanym na półtora roku katorgi, zamiast 10, 15, 20 lat.

To się nazywa „zmianą losu.“

O takiej zmianie marzą wszyscy.

Proszę nie wierzyć temu, że zbrodniarze pragną katorgi, aby ją dźwigać, jako odkupienie.

Może chyba tylko wtedy, gdy jeszcze nie wiedzą, co to jest katorga.

Gdy są jeszcze świeże, dręczące wspomnienia, gdy sumienie, to zwierzę kosmate, rzuca się i drapie duszę pazurami... wtedy może pragną pokuty.

Przy trudnym do zniesienia bólu zębów ludzie uderzają głową o ścianę, ażeby innym bólem przemódz tamten, odciągnąć myśli od niego.

Tam... A tutaj... Można pragnąć cierpień, poddać się im, nałożyć ciężkie okowy, spać na kamieniach ostrych.

Ale któż, gwoli „odkupienia,“ zechce ledz w cuchnące, lepkie i rzadkie błoto?!

* *

Pozostaje mi jeszcze powiedzieć słów kilka o stosunku zbrodniarzy do skazanych niewinnie; do tych, którzy cierpią niesprawiedliwie.

Tacy są na Sachalinie, jak i wogóle we wszystkich ciężkich robotach.

W języku aresztanckim zowią się oni: „Od sochy (pługa) na powien czas.“

Katorga traktuje ich pogardliwie.

Nie! To nawet nie jest pogarda. To nienawiść, to zawiść do ludzi o duszach niedręczonych sumieniem — wyrażana tylko pod postacią jak gdyby pogardy.

To nienawiść łotra do człowieka uczciwego; męcząca zazdrość brudnego względem czystości niewinnych.

Położenie tych nieszczęśliwych jest podwójnie ciężkie.

Nie wierzą im ludzie uczciwi, traktuje ich z pogardą i nienawiścią świat wyklętych.

I w tej nienawiści ujawnia się owo cierpienie duszy zbrodniarza, dręczonej wyrzutami sumienia.

---

do dymisyi, jeżeli nie otrzymają innego zajęcia. Prócz tego słyszymy o oznaczaniu pewnej granicy wieku, po której przebyciu pracownik musi ustąpić z zajmowanego stanowiska. Wszystko to bardzo logicznie wypływa z rozwoju technicznego i potrzeb szeroko—i wieloramiennego olbrzyma, dźwiganego przez armię pracowników. Ale ludzie nie są zardzewiałemi lub zniszczonemi cząstkami maszyn, warsztatów i narzędzi. Muszą w dalszym ciągu wlec swe istnienie i częstokroć utrzymywać wielu innych, blizkich. Stąd wynika nieraz ta rozpaczliwa chęć udawania, że się ma dobry wzrok, że siły jeszcze w całej pełni służą. Niestoty, medycyna umie bardzo łatwo wykrywać te dotkliwe braki! Gdy nie można zataić zepsutego wzroku, to przynajmniej dla wielu pozostawała ta szansa, że żył rozszerzonych pod ubraniem nikt nie będzie oglądał. A chociaż ta wada utrudniała chodzenie lub stanie, chociaż z bólu zęby się zaciskało, nikt o tem nie wiedział i dalej można było pełnić służbę, utrzymywać siebie i rodzinę, udając z wielkim wysiłkiem dziarskiego i zdrowego. Dziś już i ta szansa znika. Przepis wymaga, ażeby pracownicy poddawali się ścisłym rewizyom lekarza, jak podczas branki wojskowej. I oto teraz może setki, a nawet tysiące ludzi zatrwożyły się na wieść o wprowadzeniu w życie nowego rygoru; zatrwożyły się o własne istnienie i o byt swych rodzin.

Czy jednak tak być powinno? Do służby kolejowej wstępują zazwyczaj ludzie zupełnie zdrowi i silni. Dopiero po pewnym okresie czasu pojawia się „niezdolność" do niej: osłabienie wzroku, rozszerzenie żył itp. Są to choroby tak zwane „zawodowe," nabyte na służbie, wywołane warunkami pracy. Maszynista wiecznie czuwa, wytęża wzrok nieustannie, walczy jego siłą z mrokami nocnymi, mgłą, wiatrem, deszczem, gradem, śniegiem i kurzem. Takie działania fizyczne stal zjadają po kilku latach, a cóż dopiero mówić o delikatnym organizmie, obdarzonym subtelnymi nerwami. Rozszerzenie żył także jest wadą zawodową, wynikającą z ciągłego ruchu i długiego stania. Najsilniejszy organizm po upływie pewnej stosunkowo dość niewielkiej liczby lat, musi uledz zniedołężnieniu. Praca forsowna, nieustanna, nadmierna, wysysa siły, wytwarza wady fizyczne, robi niedołęgów nawet z takich ludzi, którzy w innych warunkach mogliby produkcyjnie pracować do późnej starości. I oto przedsiębiorstwo kolejowe, wyzyskawszy w krótkim czasie te siły, robi z ludźmi zupełnie to samo, co z zużytemi cząstkami maszyn, warsztatów i narzędzi: wyrzuca, jako graty niepotrzebne. Jest to pewnego rodzaju okrucieństwo. Ażeby je zatrzeć do pewnego stopnia, należałoby ludziom, którym wyssano siły, zapewnić jaką taką przyszłość. Jeżeli pracowników zniedołężniałych z t. zw. „ruchu" nie można przenieść do innych wydziałów biurowych lub mechanicznych, do warsztatów, magazynów itd., to należałoby im, bez względu na wiek, zapewnić emeryturę, jaką się daje po wysłużeniu określonej liczby lat. Tylko w ten sposób zupełnie ludzki można rozstrzygnąć tak ważną sprawę bytu licznych rzesz pracowników i ich rodzin. Takie zainteresowanie się ich losami ze strony instytucyi zarobkodawczej nietylko nie będzie dla niej ciężarem, nie przyniesie jej strat, lecz przeciwnie — zwiększy produkcyjność pomnożonych zastępów pracowników młodych i zdrowych, bo starzy lub wyczerpani przedwcześnie wiedząc, że nie pomrą z głodu, nie będą się uciekali do wybiegów, nie będą forsownie i rozpaczliwie ukrywali wad, których niedopatrzenie pociągnąć może fatalne następstwa: dla społeczeństwa — katastrofy i ofiary w ludziach, dla przedsiębiorstwa — nieobliczone straty materyalne, których sumy więcej wyniosą, niż obejmie budżet wydatków na utrzymanie ludzi, wyczerpanych i zniedołężniałych z nadmiaru pracy gorączkowej.

KRONIKA POZNAŃSKA.

Polityka dworska p. Kościelskiego i — zimna woda. — Kółka rolnicze włościańskie. — Germanizatorowie w sutannie i protest przeciw *Katolikowi.*

„Polityka dworska" pana Kościelskiego, czyli zaprzedanie całej duszy karyerze własnej pod pozorem dobra narodu, znowu się odezwała z powodu rozprawy nad funduszem kolonizacyjnym, ale odezwała się już na inną żałosną nutę. Nie omieszkał przedewszystkiem zaznaczyć, że nie zgadzał się w kwestyi marynarskiej z Polakami, bo miał „osobisty" pogląd. Ten osobisty pogląd, wypływający z osobistych celów, powitano śmiechem i nazwano admiralskim. Za to raczył zgodzić się z rodakami w żądaniu, ażeby fundusz 100 miliony był odrzucony. Zdobył się wreszcie na odwagę, ażeby wykazać „nieporozumienie" między Polakami a rządem. Nieporozumieniem owem jest to, iż rząd nigdy nie był dostatecznie poinformowany o prawdziwej istocie dążeń polskich. Otóż p. Kościelski usiłuje być tłomaczem tych dążeń. Właściwie zaś wykazuje podeptanie zasady wysłuchania drugiej strony. Rząd pełni rolę zarazem oskarżającego i sędziego, a więc, czy przed takim trybunałem oskarżony może oczekiwać sprawiedliwego i pomyślnego dla siebie wyroku? Skazywany on jest zazwyczaj bez należytych dowodów winy: Tak więc to, co oburzało Niemców w procesie Zoli, jest przez nich stosowane codziennie względem Polaków. Landrath pełni jednocześnie czynność urzędnika i reportera gazety, ażeby szerzyć fałszywe wiadomości o Polakach. Przytem urzędnicy w prowincyach polskich są odpowiednio dobrani, zupełnie się różniący od tych, jakich mają inne dzielnice państwa. Są to karyerowicze, którzy na dewizie swych zadań wypisali: robić źle obcoplemieńcom! Agitacya wielkopolska, ciągle niepokojąca i jątrząca opinię Niem-

---

Wyświęcenie na katorżnika.

Każdy zapewne słyszał o tem „wyświęceniu na aresztanta," o tem strasznem znęcaniu się znudzonej i gniewnej katorgi nad „nowicyuszami."

Dlaczego aresztanci tak ich dręczą, że aż włosy na głowie powstają, gdy się słucha opowiadania o tem? Poniekąd, jak już mówiłem, czynią to z nudów, poniekąd zaś z gniewu na wszystko i z chęci wylania na kogokolwiek swego rozdrażnienia, którem jest przejęta cała istota ludzka, wreszcie ze względów praktycznych: trzeba zobaczyć, czy się powstrzyma od skargi przed władzą, nawet jeżeli będzie poddany strasznemu pastwieniu się. Przecież należy poznać człowieka, który wszedł do „rodziny." Czy będzie zawsze i w każdej okoliczności towarzyszom, któremu ufać można?

Obszedłem wszystkie więzienia sachalińskie i mogę z zupełną pewnością powiedzieć, że dawny straszny zwyczaj „święcania na katorżnika," poddawania próbom „nowicyusza" — pozostał w kraine podań. Dziś już niema tego. Wtedy rozlegał się wszędzie świst rózgi i bata i to wyciskało piętno na obyczajach więzienia. Teraz zapanowała większa łagodność.

„Młoda" katorga robi tylko oczy zdziwione, gdy zapytać: „Czy panują u was takie lub inne zwyczaje?" I tylko starcy z zakładu derbińskiego, gdym napomykał o dawnych zwyczajach „wyświęcania," uśmiechali się i kiwali głowami, jak gdyby się spotkali z dobrym dawnym znajomym.

— Było, było to wszystko! Prawda!

I chętnie rozwijali w opowiadaniu te obrazy, które zawsze rozwija człowiek ze wspomnień niedoli przeżytej.

„Młoda" katorga nawet nie może zrozumieć tych zwyczajów.

— Komuż i jaka stąd korzyść?

„Korzyść" — to alfa i omega całego poglądu na świat katorgi dzisiejszej. I nic w tem niema dziwnego: Przeważający żywioł katorgi — zbójcy,—rabusie, tj. ludzie, którzy popełnili zbrodnię „dla korzyści."

„Korzyść" — to wszystko. Katorżnik, który popełnił zabójstwo na Sachalinie, opowiadał mi o swojej zbrodni i napomknął, że po tym czynie wzięto także innego, zupełnie niewinnego osiedleńca:

— Ale ja go uwolniłem... Bo on nie mógł być pożyteczny w mojej sprawie.

A gdyby „mógł być pożytecznym," to zbrodniarz zaplątałby człowieka zupełnie niewinnego i cała katorga zrozumiałaby go wybornie.

— Wszak człowiek musi myśleć o swojej „korzyści." Każdy o sobie.

Całe obecne „wyświęcenie na katorżnika" polega na tem, że turma stara się wyciągnąć z nowicyusza „korzyść," tj. korzystając z jego niedoświadczenia, wyzyskać i oszukać jak można najbardziej.

W tym celu katorga posiada kilka gier, wyłącznie dla nowicyuszów: w chusteczkę, w krzyżyki, w sakiewkę, naparstek, asy, w czarne i czerwone.

W tem „wyświęceniu" jest nawet coś sympatycznego: tutaj bywa karana namiętność do lekkich i pewnych zysków, chęć ograbienia towarzyszów na pewno.

Nowa partya, przywieziona na parowcu, odbyła kwarantannę i poddała się badaniu lekarskiemu. Podzielona bez żadnego praktycznego celu — na „zupełnie silnych," „słabych" i „wcale niezdatnych do pracy" — weszła do więzienia.

Jeszcze wcześniej, dopóki odbywała 3—4-dniową kwarantannę, dawni więźniowie zebrali o niej pewne dane. Jeden się dowiedział o przybyciu brata, drugi — wspólnika, trzeci — starego towarzysza. Wszyscy ciekawi, bez względu na to, że się mogą narazić na kozę i chłostę, dostali się do kwarantanny i zdobyli niezbędne informacye. „Balwierze" więzienni, wystawiając swoją skórę na niebezpieczeństwo, dowiedzieli się tam, kto z nowych przybyszów potrafił przywieźć z sobą pieniądze, kto się wzbogacił po drodze grą w karty lub pisaniem listów i podań, kto wogóle posiada pieniądze. Dowiedziano się także, ile panowie podróżni dali na

ców — tą bajka o wężu morskim, powracająca stale, jednocześnie z wysuwaniem na porządek dzienny ustaw antipolskich. Ustawy te wszakże nie mogą zniszczyć narodowości polskiej. Przeciwnie — mogą one tylko zaszkodzić państwu pruskiemu, gdyż Polacy, doprowadzeni do ostateczności, szukać muszą punktu oparcia po za Prusami.

P. Kościelski wystąpił także przeciwko hakatystom, a bodźcem tu była niewątpliwie ta okoliczność, że oni prześladują także mówcę za to, iż „chciał uczynić Polaków zadowolonymi i pogodzić ich z panowaniem pruskiem." To usiłowanie godzenia, to przybieranie na się roli rzecznika narodu bez jego upoważnienia, jest właśnie rdzeniem „polityki dworskiej." Nie zaskarbił sobie, nieborak, uznania u tych, w których imieniu samowolnie wystąpił, ani u hakatystów, którzy bynajmniej nie pragną zadowolenia i zgody polskiej; bo zniknęłyby wtedy źródła poważnych zysków, czerpanych z patryotyzmu pruskiego.

Zdaje się, że to puste ziarno polityki, które nie chce dać dla p. Kościelskiego owoców, będzie dla niego kubełkiem zimnej wody, bo oto sam nareszcie przyszedł do przekonania, że „choćbyśmy byli ultra lojalni i ultra królewscy, będziemy zawsze potępieni: *der Jude wird verbrannt!..*"

Przejdźmy jednak od tej polityki żebraczej do życia istotnego — pod strzechą chłopską. Mamy obecnie pod ręką materyał o kółkach rolniczych włościańskich, który daje pewne pojęcie o rozwoju zrzeszenia na gruncie ekonomicznym, datującego się już od dość dawna. Wielkie Ks. Poznańskie posiada dziś 197 włościańskich towarzystw rolniczych, nazwanych „kółkami," dla odróżnienia od stowarzyszeń szlacheckich (!). O takiej formie działalności ekonomicznej włościan w r. 1862 pomyślał Julian Krasiewicz, dzierżawca plebanki w Tymawie. On to właśnie zorganizował i założył pierwsze towarzystwo rolnicze włościańskie we wsi Piaseczno pod miastem Gniewem nad Wisłą i sam stanął na czele tego ogniska. Z początku rozwijało się ono bardzo pomyślnie i było wzorem, tudzież wielką zachętą dla innych okolic; stamtąd także wyszła spółka pożyczkowa, wreszcie dzięki tej pracy gromadnej, powstała w Gniewie cukrownia akcyjna. Skutkiem atoli omyłek i niepowodzeń późniejszych towarzystwo to zupełnie upadło. Ale przykład rozszerzył się i wydał owoce. Przedewszystkiem wielkopolanie wzięli się do tego skwapliwiej, niż lud w Prusiech Zachodnich.

Przyczynił się niemało do rozniecenia takich ognisk obywatel ziemski, Maksymilian Jackowski, który osobiście kółka zawiązywał, następnie zaś postarał się o przyłączenie ich do centralnego Towarzystwa rolniczego w Poznaniu i pod jego opieką w r. 1873 objął nad niemi nadzór główny, jako patron. Organ centralny składa patronowi pewną roczną kwotę na najpilniejsze potrzeby kółek. Podczas zaś walnego zebrania Towarzystwa, odbywają się także narady delegatów i kółek włościańskich. Posiedzenia takie zwołano w ubiegłym miesiącu. Odczytano sprawozdanie roczne, z którego wyjmujemy garść ważniejszych szczegółów. Nie przedstawiają one, niestety, zupełnie w pomyślnem świetle rozwoju i działalności tych organizacyj. Tak np. w roku ubiegłym powstało pięć nowych kółek, ale za to niektóre dawniejsze upadły, niektóre zaś drzemią bezwładnie, prowadzą żywot zupełnie jałowy. Co najsmutniejsza, że bardzo jest trudno o ludzi zdolnych i wytrwałych, którzyby swój czas i siły zechcieli szczerze poświęcić tej sprawie. Nadto, pewna część włościan, dotychczas nieuświadomiona, nietylko lekceważy pracę zrzeszoną, ale nawet ją wydrwiwa. Są atoli i dodatnie fakty. Mianowicie daje się zauważyć pewna, acz nieznaczna dążność do wykształcenia rolniczego, zwłaszcza śród młodszego pokolenia włościan. Godnym jest uwagi system łączności kółek. Każde takie ognisko drobne ma zakres parafialny, odbywa u siebie posiedzenia, następnie pod przewodnictwem wicepatronów powiatowych łączy się w zebraniach jednego, a nawet kilku powiatów. Tym sposobem kwestye, nie dające się rozstrzygnąć w zakresie parafialnym, bywają rozstrzygane na zebraniach powiatowych, tem łatwiej, że przy pomocy inteligencyi poważniejszej. Połączone kółka powiatowe urządzają przegląd gospodarstw włościańskich i folwarcznych, w celu wytykania braków i przedsięwzięcia naprawy, albo też wyciągania pożytecznych wskazówek z wzorów. Niezbędne do tego wyjaśnienia i wskazówki dawane są w rozprawach i dyskusyach na posiedzeniach. W roku ubiegłym zwiedzono w tym celu 203 gospodarstwa w 83 kółkach (100 kółek zaległo w tej mierze). Przyznać trzeba, że z kółek tych wyszło wiele zachęty i czynów pożytecznych w zakresie racyonalnej rachunkowości, urządzeń kredytowych, hodowli bydła, różnych ulepszeń uprawy, pszczelnictwa, ogrodnictwa, sadownictwa, przemysłu domowego, budowy dróg kołowych i kolejek, używania i ulepszania nawozów itd.

Zachęta znalazła posłuch i zastosowanie proponowanych ulepszeń, tudzież wskazówek w czynie: W r. z. kółka sprowadziły około 74,000 centnarów takich nawozów. Niezależnie od tego wielu członków sprowadzało na własną rękę. Jak głosi sprawozdanie, łąki, które dawniej dawały 4—6 centn. siana z morgi magd., obecnie meliorowane i nawadniane, przynoszą 20—25 cent. Chów bydła w wielu gospodarstwach chłopskich znacznie ulepszono. To samo można powiedzieć o koniach: Dobre rozplodniki rozstawiono po licznych stacyach. W roku ubiegłym odbyły się wystawy włościańskie, trzy większe i cztery mniejsze. Wszystkie podobno udały się i przyniosły korzyść okolicy. Członkowie kółek mają swoje pismo fachowe popularne p. t. *Poradnik Gospodarski* w Poznaniu.

Dla charakterystyki działalności tych ognisk nadmienimy, że po odczytaniu sprawozdania dorocznego, z którego powyższe szczegóły zaczerpnęliśmy, włościanin Zawisła wypowiedział rzecz o znaczeniu rachunku w gospodarstwie, p. Tomaszewski — o chowie bydła i korzyściach z niego. Włościanie brali żywy udział w rozprawach i czystością mowy, oraz logicznymi wywodami mogliby zakasować niejednego szlachcica, niewyglądającego nigdy po za miedzę swego zaścianka i czującego odrazę do pism i książek.

Wogóle w świetle sprawozdania działalność kółek rolniczych przedstawia się bardzo dodatnio. Dużo jednak jest jeszcze do zrobienia, dużo także byłoby do zarzucenia, ale nie możemy obecnie nad tem się rozwodzić, bo mamy do zaznaczenia coś ważniejszego: fakt potworny, ohydny: germanizacyę prowadzoną przez duchowieństwo polskie na Szlązku i w Prusiech Zachodnich. Jak dalece ono zaszło w tej działalności, dowodzi oburzenie nawet pism wielce klerykalnych, które zabezpieczywszy się zastrzeżeniem: „jakkolwiek przeciwko ogóło-

---

Wielkanoc śpiewakom - aresztantom, ile się udało wyprosić u postronnych „na oprawcę." I gdy nowa partya przybywa do więzienia, jego mieszkańcy już znają stan majątkowy nowicyuszów i wiedzą, na kogo należy zwrócić uwagę.

W więzieniu i tak ciasno, a tu przybyło jeszcze tylu ludzi! Trzeba spać pod „narami" (tapczanami). Starsi sprzedają nowicyuszom lepsze miejsca, starając się oczywiście zedrzeć znacznie więcej, niż zwykle jest cenione „dobre miejsce" w więzieniu. Wygłodzeni żygani zaczynają trochę porastać pierzem, sprzedając resztki tego, co im pozostało: miejsca do spania — sami zaś idą pod tapczany.

Nowicyusz jeszcze nie może się opamiętać, zebrać swych myśli; wystraszony, oszołomiony nowymi warunkami, nie wie, jak stąpać, jak się zachować; widzi tylko jedno, że tu na każdym kroku niezbędne są pieniądze, że bez nich zginąć można; że trzeba je zdobywać wszelkimi sposobami. Wtedy to właśnie wpada w potrzask.

Nowicyusz siedzi na „narach," ze strachem i ciekawością patrzy na ludzi, śród których musi przeżyć długie, ach, jak długie lata!

Po więzieniu chodzi jakiś gapa-aresztant, z pozoru „wuj szopa." Z kieszeni wygląda róg chustki, na której zawiązany wązełek, a w nim zapewne pieniądze.

Inny więzień, który już zdążył niedawno powiedzieć nowicyuszowi przychylne słowo, po cichu skrada się z tyłu do „wuja-szopy," mrugnąwszy chytrze, rozwiązuje węzełek, wyjmuje 20 kop. i zawiązuje kopiejkę. Nowicyusz, któremu mrugnął, życzliwie się uśmiecha: „dzielnie!" — powiada.

— Ej, wuju! — woła sprytny — co to farmazońską masz kopiejkę, żeś ją w węzełku zawiązał?

— Jaka kopiejka? — dobrodusznie pyta zaczepiony.

— A ta, co w chustce zawiązana. Głupi dyabeł! Czuwyrło brackie! Zawiązał kopiejkę i chodzi!

— Dosyć tego gadania, czorcie! Nie kopiejka, lecz 20 kopiejek!

Wuj-szopa chowa wysunięty róg chustki w głąb kieszeni. Dokoła zbiera się tłum.

— Dwadzieścia kopiejek! — wydrwiwa „kręcony" — czyś ty widział kiedy monetę dwudziestokopiejkową? Zawiązał kopiejkę, chodzi i udaje, że ma 20 kopiejek.

— Ach, ty taki owaki! — woła zniecierpliwiony wuj-szopa — cóż ty zniesławiasz mię przed wszystkimi panami aresztantami? Chcesz się założyć? O dziesięć rubli!

— O dziesięć?!..

— Tak, o dziesięć..Przygryzł język goły!

Tłum śmieje się.

— Słuchaj, nie mam dziesięciu rubli. Stawiaj papierek czerwony; mnie dasz potem rubla! —szepce „zręczny" nowicyuszowi.

Ten się waha.

— Przecież na pewno! Sam widziałeś.

— Stawiaj! — zachęcają inni.

Podczas gdy się odbywa ta zachęta, inni zabawiają „szopę" rozmową, niby dlatego, ażeby nie zauważył owej namowy.

— Ot, on stawia za mnie! — oznajmia zręczny, wskazując nowicyusza — połóż czerwony papierek!

Z obu stron położono czerwone papierki.

— Dawaj chustkę! Ty rozwiązuj!

Dają chustkę nowicyuszowi.

Ten rozwiązuje węzeł i blednie.

— Dwadzieścia kopiejek!

— Tak! A mówisz, głupcze, kopiejka! Nie licz w cudzej kieszeni!

— Ależ to oszustwo! — woła nowicyusz, chwytając pieniądze,

Lecz mu odbierają dziesięciorublówkę, a gdy nie oddaje — biją.

(C. d. n).

wi duchowieństwa podobnego zarzutu podnieść nie można" — stawiają pod pręgierz tych zaprzeczańców, te dusze czołgające się, w płazy zamienione. Oczywiście nie można tego powiedzieć o wszystkich, ale sami oni określili wyraźnie pokaźną liczbę germanizatorów w sutannach: *258* na Górnym Szląsku. Tylu właśnie podpisało się pod odezwą, potępiającą *Katolika*, pismo założone przez Miarkę, które cieszy się ogromnem powodzeniem (liczy 20,000 abonentów). Protest wystosowano pod pozorem, że organ ten sieje niezgodę pomiędzy duchowieństwem a ludnością katolicką. Właściwa przyczyna tkwi gdzieindziej: *Katolik* niejednokrotnie występował przeciwko dążnościom germanizatorskim duchowieństwa na Szląsku i oto źródło oburzenia aż 258 germanizatorów! Za zasłużone napiętnowanie chętnieby oni zgładzili pismo, które jest ożywione bodaj głębszym i szczerszym duchem chrześciańskim, niż ci urzędowi obrońcy i szerzyciele wiary.

et.

LISTY Z PARYŻA.

Dla dziatwy. — Wychowanie mieszane. — Walne zebranie towarzystw opieki nad suchotniczemi dziećmi i nad małoletnimi skazańcami. — Setna rocznica wyprawy Francuzów celem oswobodzenia Irlandyi.

Kilka lat temu pisma codzienne, zawsze głodne skandalów, uderzyły w dzwony. Kierownik szkoły w Cempuis, miasteczku niezbyt odległem od Paryża, ośmielił się na próbę zaprowadzić wspólną naukę dla chłopców i dziewcząt. Francya, w życiu rodzinnem zachowująca dotąd zwyczaje czasów przed Ludwikiem XVI, podniosła na to okrzyk oburzenia. Mieścić w jednej izbie szkolnej obie płcie! To straszne! Ku czemu zmierzamy?..

Nieznajomość wszystkiego, co się dzieje za granicami „Galii," uzewnętrzniła się doskonale. Wszakże w Ameryce podobny system wcale nie wykrzywił moralności społecznej. I inne państwa poszły za przykładem yankesów.

Choć upłynęło już nieco wody od tego czasu, było jednak czynem odwagi wystąpić w obronie tak srodze potępionego systemu. Dokonał tego dość wolnomyślny publicysta, Ludwik Gramont.

Za przykład posłużyła mu Holandya.

„Wynika ze świeżej statystyki — pisze on w jednym z dzienników — że w Holandyi obecnie 109 dziewcząt uczęszcza do liceów—nie do liceów dziewczęcych, jak we Francyi, lecz do mieszanych. Siadają tu w tej samej izbie, co chłopcy i nikt wcale nie bywa gorszonym.

Zresztą i u nas bywa to stosowanem w rodzinie. Jeśli próbie w Cempuis można co wytknąć, to jedynie formę internatową. Natomiast zwykły wszędzie za obrębem Francyi eksternat należy swobodnie zalecać.

Chłopcy i dziewczęta przychodzą do tej samej sali, siadają na ławkach graniczących z sobą, słuchają wspólnie wykładu. W czasie wytchnień rozmawiają z sobą lub bawią się. Otóż zauważono w Holandyi, że ta wzajemna styczność wyrabia w dzieciach więcej swobody, więcej niezależności i więcej ogłady. To samo rezultaty podają sprawozdania amerykańskie i szwajcarskie.

Właściwie więc dotąd tylko ludy łacińskie (a słowiańskie? *Red.*) opierają się tej nowości. Według zwykłych twierdzeń, posiadają one gorętszą krew, umysły bardziej skierowane w kierunku cielesnym, silniejsze żądze. Ej, kto tam wie, czy ten szczególny „temperament" nie pochodzi właśnie z przyczyny oddzielnego wychowywania płci? Każda z nich jest dla drugiej tajemnicą, tajemnice zaś, jak wiadomo, są czynnikiem wielce pobudliwym.

Ważną rzeczą jest tu przedewszystkiem nadzór. Po za tem zaś trzeba pamiętać, że dwie płcie są stworzone nie dla życia oddzielnego, ale razem. Takie jest prawo przyrody i prawu temu należy się poddać. A więc czy nie lepiej przyzwyczaić je jak najwcześniej, od czasów szkółki ludowej, od czasów szkoły średniej do czekającego je bytu?

Zresztą wierzcie mi, chcąc czy nie chcąc, nasze społeczeństwo dojdzie do tego. Ganiona czy chwalona, ta reforma zostanie dokonaną niezodwnie. Wypłynie ona z nieprzepartego ruchu kobiecego, który rośnie w naszych oczach, jest jego nieuniknionem następstwem. Jeżeli pozwalamy kobietom wybierać te same zawody, co mężczyznom, studyować medycynę i prawo, jak oni i z nimi, to z konieczności będziemy musieli pozwolić im zaczynać naukę niższą w tych samych warunkach, w jakich prowadzą wyższą."

Przytoczyłem treść tego artykułu, bo popierwsze, wywody jego mają wartość powszechniejszą i mogą być wszędzie powtórzone, po drugie, dostarcza on przykładu przenikania — jakkolwiek powolnego — myśli jaśniejszych, a do tego obcych, do odgradzającej się chińskim murem zarozumiałości Francyi. Ponieważ mówimy o dziatwie i wyrostkach, więc wspomnę jeszcze kilka słów o dwu instytucyach im poświęconych a zasługujących na sympatyę.

Odbyły się niedawno ich walne zgromadzenia. Pierwsza to „Dzieło dzieci suchotniczych" (L'oeuvre des enfants tuberculeux). Zakłady dla suchotników są we Francyi dość nieliczne (pisałem niegdyś w *Prawdzie* o pierwszym państwowym). Zakład dla dzieci powstał dzięki składkom i loteryom, zawdzięcza więc swój początek kilku osobom dobrego serca i poczucia obywatelskości, między innymi hr. Haussonville. Początkowo inicyatorzy myśleli, że zdołają założyć jedno tylko uzdrowisko. Otóż okazało się, że hojność publiczna pozwoliła zbudować dwa szpitale (w Ormesson i w Villiers) i urządzić dwie kolonie zdrowotne (w Noisy i w Trémilly). Według sprawozdania liczono w tych czterech miejscowościach 6,999 chorych i dano 13,711 konsultacyj. Piękny przykład inicyatywy osobistej!

Druga to „Komitet obrony dzieci skazanych." Podnoszono wielokrotnie brak opieki nad więzionemi dzieci, w szczególności zaś szkodliwość obcowania dorosłych przestępców z niemi. „Komitet," wytężywszy w tym celu swe starania, uzyskał to, iż obecnie dzieci i starsi przestępcy mieszczą się w osobnych izbach, nadto w jednem z głównych więzień (w Nanterre) urządzono osobny oddział dla dziewcząt, liczących mniej niż dwanaście lat. Przedtem odsyłano je do Saint-Lazare, więzienia prostytutek.

Rok bieżący jest rokiem jubileuszów: Hieronima Savonaroli, Vasco de Gamy. Francya będzie zapewne obchodziła wkrótce jubileusz — wyprawy celem oswobodzenia Irlandyi.

Piękny to był krok i pełen chwały. Pomny śmiałego planu Hoche'a, dyrektoryat postanowił złamać potęgę angielską, wyzwalając Zieloną wyspę. Napoleon wolał przenieść do Indyj widownię walki i za pierwszą stacyę swej wyprawy wybrał Egipt. Ale byli jeszcze zwolennicy dawnego pomysłu; osobliwie irlandzka delegacya, z Wolfem Tonem na czele, zalecała go gorąco. Jakoż zorganizowano dwa korpusy: jeden pod Hardym, drugi pod Humbertem, dla dokonania wyprawy irlandzkiej. Lecz opieszałość ministeryum marynarki popsuła wszystko. Hardy podążył za Humbertem aż w miesiąc później, kiedy ten po zwycięztwach, którym trudno dać wiary (w takich warunkach je odniesiono!), został osaczony i wzięty w niewolę. Hardy poniósł klęskę w zatoce Swilly; Tone, którego schwytano na zasłaniającym odwrót okręcie „Hoch," samobójstwem uratował się od szubienicy angielskiej.

Przypomniano teraz dzieje wyprawy Humbertowskiej. Tysiąc ludzi, uniknąwszy szczęśliwie zasadzek floty angielskiej, przybija do Irlandyi, jak błyskawica przebiega w kilku dniach kilkadziesiąt mil, wnika w głąb wyspy, znosi większe i mniejsze oddziały wroga, pod Castlebar zadaje sromotną porażkę sześciu tysiącom Anglików, organizuje powstanie irlandzkie i ulega ledwie trzydziestotysięcznej armii generała Lake'a pod Ballinamuck. Nie dopuszcza się ani jednego bezprawia, a klęskę swoją przypisuje temu, że zgłodniali, znękani żołnierze na dzień przed nią po czterodziennym nieprzerwanym prawie marszu spali, nie dwie godziny, jak postanowił był początkowo, ale cztery.

Biskup angielski, Stock, tak opisuje żołnierzy francuskich:

„Inteligencya, czynność, umiarkowanie, wytrzymałość łączyły się z sobą zadziwiająco w żołnierzach Humberta. Przytem posłuszeństwo i karność bezwzględna. Byli przeważnie mali, bladzi i nikłego wyglądu. Powierzchowny obserwator byłby uważał ich za niezdolnych do zniesienia najmniejszego trudu. Tymczasem ci ludzie umieli zadowolić się chlebem, kartoflami i wodą, kłaść się na sen na kamieniach dróg i spać w odzieniu pod jedynem okryciem sklepienia niebieskiego."

Gdy Humbert oddał szpadę Lake'owi, ten spytał go: gdzie jego armia? „Oto." — odparł ten, pokazując na czterechset ludzi otaczających go. Generał Lake zdumiał się. „I gdzie chcieliście iść?" „Do Dublina, strgać okowy tych, co jęczą pod waszą tyranią!" — rzekł wódz francuski.

Jeńców wymieniono szybko; innego losu doznali powstańcy irlandzcy, wzięci z orężem w ręku. Szlachetni Anglicy wymordowali większość niezwłocznie, innych posłali na szafot. Nawet dwóch oficerów francuskich, pochodzenia irlandzkiego, powieszono.

Lud irlandzki do dziś pamięta każdy szczegół tych dni. Dom, który kule podziurawiły, bywa uważanym za świętą pamiątkę; grobu Francuza żaden pług irlandzki nie naruszy. Poległym pod Castlebarem mieszkańcy wioski wznieśli skromny, ale trwały pomnik. Każde dziecko irlandzkie w stronach, przez które przeszedł Humbert, umie opowiedzieć o nim.

B.

SEKCIARSTWO RELIGIJNE NA ZACHODZIE.

Faktem jest, że im wyżej pod względem kulturalnym stoi dane społeczeństwo, tem wyraźniej, jaskrawiej zaznaczają się w niem prądy i kierunki życia, które przy innych warunkach są niejasno i jakby przez mgłę zakryte.

Literatura i sztuka wogóle rozwija się tylko wtedy — jak mówi Taine w swej Filozofii sztuki — kiedy w pewnem społeczeństwie istnieje tak zwany przezeń „odpowiedni klimat moralny." To samo daloby się powiedzieć o życiu społecznem, dla którego rozwoju niezbędną jest także odpowiednia atmosfera moralna. Najdziwaczniejsze nieraz przejawy owego życia występują wtedy obok rzeczywistych postępów kultury.

Jedną z podobnych anomalij społecznych jest Armia Zbawienia, która w niespełna 25 lat przyjęła już kolosalne rozmiary, stała się przedmiotem obrad

w parlamentach, rozlała się z Anglii, w której wzięła początek, na Francyę i Szwajcaryę, przez ocean przerzuciła się do Ameryki i Australii, a misye jej spotkać obecnie można na końcach świata, jak np. w Kaplandzie.

A trudno doprawdy docieć, co spowodowało tak szybki jej rozwój i samo powstanie.

„Przyczyny powstawania w Rosyi sekt— mówi jeden z najbardziej w tym kierunku znanych badaczów, p. Abramow (*Otiecz. Zapiski* 1882), leżą w nagłej zmianie położenia chłopa pod względem społecznym i prawnym. Trudne położenie ekonomiczne zmusza go teraz często do przekraczania praw sumienia, ale pomimo to duch prawdy żyje i istnieje w większości; większość owa zadaje sobie pytanie: jak wyjść z pośród tej Scylli i Charybdy, jakiemi z jednej strony jest potrzeba materyalna, z drugiej — upadek moralny. Charaktery słabsze starają się walkę tę zagłuszyć w sobie; silniejsze jednak chwytają się najdziwaczniejszych nieraz środków, aby wyrwać się z tych przykrych warunków. Jedni więc, jak „bieguni," uciekają do pustyń gubernii Archangielskiej i Ołonieckiej, drudzy odbywają pielgrzymkę do Ziemi Świętej, inni wreszcie przystępują do jakiejkolwiek sekty."

Gdyby nawet można było zgodzić się z wyżej przytoczonemi słowami Abramowa, dotyczącemi naukowego uzasadnienia rodowodu sekt rosyjskich, nie można ich zastosować do Armii Zbawienia, a z drugiej strony trudno przypuścić, aby zjawisko to zawdzięczało swe istnienie chociażby tak zdolnej i energicznej jednostce, jaką bez zaprzeczenia jest jej założyciel — generał Booth.

Nie łatwym także do usprawiedliwienia jest tak szybki jej rozwój, nie podnosi ona bowiem żadnych nowych idei, nie stawia nowych dogmatów, nie posiada nawet, wspólnie z wieloma sektami rosyjskiemi, specyalnego charakteru religijnego; słowem, niema w niej nic, coby mogło pociągnąć siłą nowości.

Oto kilka niemieckich broszur agitacyjnych „Heils-Armee." Na pierwszej zaraz stronicy jednej z nich czytamy: „Armia Zbawienia nie jest bynajmniej nową religią; podstawy jej są identyczne z temi, na których wspiera się kościół chrześcijański; jest ona tylko dążeniem do pierwotnego, prostego chrystyanizmu, jest reakcyą istoty nad formą."

Jak więc widzimy, idee te nie są czemś nowem; walczono o nie i tworzono armię niegdyś, bardzo dawno, przed kilkunastu stuleciami; idee te przeszły następnie w krew, zmieszały się z nią zupełnie, tracąc przez to pierwotny swój fanatyczny charakter.

Inaczej widać rozumował generał Wiliam Booth, kiedy powziął myśl stworzenia swej Armii. Urodzony w roku 1829-ym, mając zaledwie szesnaście lat, przemawiał on często na ulicy do gromadki ciekawych, nakłaniając ich do porzucenia „drogi złego i występku." W roku 1861, po ukończeniu uniwersytetu, otrzymał miejsce kaznodziei przy maleńkim kościółku, położonym w jednej z najbiedniejszych dzielnic Londynu, i od tej chwili oddał się zupełnie „ewangelizowaniu tłumów."

Praca Bootha, jak to już na początku zaznaczyłem, przyniosła zdumiewające rezultaty: Armia na miliony liczy obecnie swych członków, a każde niemal zebranie przysparza jej coraz to nowych. Zebrania sekciarzy rosyjskich różnią się bardzo od zebrań Armii Zbawienia, bo gdy pierwsze są raczej pogawędkami czy dysputami na temat religii, drugie noszą charakter czysto mistyczny i jako takie nadają się bardzo do tłumnych nawet nawróceń.

Miałem sposobność być na kilku zebraniach Armii Zbawienia i obserwować tych szermierzy, podzielonych na prostych żołnierzy, oficerów, kapitanów itd. W ogromnym drewnianym budynku na jednym z większych placów Zurychu zebrało się około czterechset osób, mężczyzn i kobiet. Tłum przedstawiał się nader różnobarwnie: obok ogorzałych twarzy Włochów można było widzieć idyotyczną, z wystającemi kościami policzkowemi i zapadłemi oczami fizyognomię obywatela z kantonu Graubinden; obok wesołego, uśmiechniętego Francuza — poważnego w swej ociężałości Zuryszanina. Typy kobiet jeszcze ciekawsze: żółte, zniszczone ich twarze, ginące pod ogromnem rondem granatowej budki, stanowiącej uniform oficerek, przekonują same za siebie, że kobiety te zostały faktycznie nawrócone, bo młodość swą spędziły prawdopodobnie nie w walce ze złem i występkiem.

Wśród zebranych ruch panuje niezwykły; przez szeroko otwarte drzwi napływają tłumy ludzi. Wreszcie czerwone chorągwie, trzymane przed oczami zebranych, zaczynają się lekko poruszać, a ustawieni w szeregi wyznawcy rozpoczynają śpiew, wykonywając przytem dziwne jakieś ruchy rękami i górną częścią ciała. Po całym budynku rozlega się teraz: „Nur ein Blick auf Golgota," śpiewane na nutę znanej, erotycznej piosenki szwajcarskiej. Słowa te, bezustannie wpadające w ucho słuchaczów i samych śpiewających, odrętwiają władze myślenia, odejmują przytomność, pogrążają setki istot ludzkich w rodzaj słodkiego snu na jawie, ukazując im widziadła nieziemskiego żywota... Za chwilę głosy chrypną i przeradzają się w straszny ryk, dreszcz zaczyna wstrząsać całem już ciałem, a oczy zapalają się dziwnym blaskiem. Z początku śpiewają tylko dawniej już nawróceni, potem jednak i reszta zebranych, podniecona chórem, rytmicznem poruszaniem chorągwi i dziwną atmosferą, w jakiej się znajduje, przyłącza się zwolna do nich i pod koniec całe zebranie śpiewa i śpiewa aż do zmęczenia, zapadając w coraz większą ekstazę.

Charakterystyczną nadzwyczaj jest rzeczą, iż te kilka słów śpiewane bywają w Szwajcaryi na melodyę jakiejś piosenki szwajcarskiej, w Anglii — angielskiej, w Kaplandzie nawet — kafryjskiej.

Rodzima, znana piosenka mówi zawsze więcej, niż obca — rozumują widocznie przywódy Armii Zbawienia.

Podczas całej tej pierwszej części zebrania wyżsi oficerowie obserwują z daleka zebranych i, jak tylko ucichną ostatnie tony śpiewu, rozsypują się po sali, szukając nawróconych. Zagadnięty waha się zwykle przez chwilę; stoi, wysunąwszy jedną nogę naprzód, z zaciśniętemi przy piersi lub wyciągniętemi przed siebie rękami; gdy jednak komisarz objął go ręką w pół, pociągając ku katedrze, nie stawia już nigdy oporu. Wchodzi szybko na wzniesienie i grobowym, zmienionym głosem rozpoczyna spowiedź publiczną, a twarz jego mieni się co chwila i z bladej staje się siną zupełnie.

Grzechem najczęściej wspominanym jest nałogowe pijaństwo.

Czy nawrócenie to było chwilowem podnieceniem nerwów, ekstazą, czy ludzie ci, wytrzeźwiawszy, nie tracili zapału — trudno sprawdzić. Przypuszczam jednak, że nie, gdyż chwila, jaką przeżyli, musiała wywrzeć kolosalne wrażenie na ich słabe nerwy, a prócz tego dostawali się oni w pieczołowite ręce oficerów, którzy starać się będą na pewno zapał ów podtrzymywać i podniecać.

Z sekt rosyjskich najbliżej Armii Zbawienia stoi obecnie „Malowanszczyna" i stali w pierwszej fazie swego rozwoju „Szałopuci." Cechą, która sekty łączy z Armią, jest ich mistycyzm, który w Malowanszczyźnie dochodzi do ostatnich granic. Założycielem tej sekty jest mieszczanin, Konrad Malowany z Taraszczy, gubernii Kijowskiej. W miejscowości tej poprzednio rozpowszechniona była „sztunda." Malowany przed przystąpieniem jeszcze do niej oddawał się nałogowo pijaństwu, następnie zaś wskutek nadmiernej pracy umysłowej nad studyowaniem Pisma św. dostał obłędu, znanego w medycynie pod nazwą *paranoia* i, ogłosiwszy się za Chrystusa, przepowiadał bliski koniec świata. Podczas modlitwy wznosił ręce do góry i trzymał je w taki sposób aż do chwili, kiedy zaczynały drgać, wkrótce dreszcz przechodził na całe ciało, a naiwni widzowie uważali to za wstępowanie weń Ducha św.

Obawa przed bliskim końcem świata jest wogóle bardzo rozpowszechniona śród sekciarzy, a u „Szałoputów" np. dochodzi do tego, iż niektórzy z nich kładą się zawczasu do trumien, wzbraniając się przyjmować pokarm. Wpadając niekiedy w ekstazę mistyczną, chcą oni żywcem wznieść się do nieba, wchodzą więc na dachy domów lub na wysokie wrota i rzucają się stamtąd, nie w górę jednak, jak się łatwo domyśleć, lecz w dół, na ziemię.

Wytrawni przywódcy Armii Zbawienia nie dopuściliby, rozumie się, do podobnych karkołomnych wybryków; ale też stanowczo twierdzić można, że działają oni najzupełniej świadomie, nie poddając się bynajmniej ogólnym uniesieniom.

Założycieli i przewodników sekt rosyjskich natomiast w żadnym razie nie możemy nawet posądzać o taką świadomość swych czynów, gdyż zpośród wszystkich swoich wyznawców są oni zawsze prawie najbardziej chorymi, a więc najłatwiej poddającymi się strasznym halucynacyom.

Różnica ta w stanowisku prowodyrów najjaskrawiej zaznacza się w samem rozumieniu celu zebrań: Malowańcy, Sztundyści i inni urządzają je jedynie w celu wspólnego odbywania praktyk religijnych, dla wyznawców Armii Zbawienia zaś zebrania są środkiem agitacyjnym.

Oprócz jednak tych wieców, na których Armia zdobywa sobie najliczniejszych wyznawców, propaganda prowadzi się i w inny sposób, a mianowicie za pomocą broszur i pism. Oficerki są w niej najbardziej wytrwałe. Często bardzo spotkać je można w Anglii, Francyi, a szczególnie w Szwajcaryi, gdy z paczką papierów pod pachą przebiegają ulice i restauracye, sprzedając lub rozdając za darmo swe agitacyjne broszury albo znany organ Armii Zbawienia, „Kriegsruf."

Z drugiej strony oficerowie urządzają formalne patrole, w późną noc obchodzą ulice i zaułki, szukając zapóźnionych pijaków i prostytutek, z których wiele podobno udaje im się sprowadzić ze złej drogi.

Pozbierane w ten sposób zbłąkane owieczki dostają się w opiekę starszych i według przepisów do najbliższego zebrania otrzymują bardzo lekkie pożywienie, trawiąc czas na czytaniu Pisma świętego i dysputach religijnych, aby następnie łatwiej im było uwolnić duszę z pęt grzesznego ciała.

Ten duch głębokiego wyrachowania, oparty często na podstawach naukowych, przebija się z wszystkich praw, wydawanych dla członków Armii. Nakaz wstrzymywania się przed zebraniem od posiłku, działanie monotonnej pieśni, wreszcie rytmiczny ruch chorągwi — są nazbyt znane ze swych następstw. Być może, że Booth i jego pomocnicy kierują się najszlachetniejszemi pobudkami, chcąc dać jakikolwiek punkt oparcia setkom nieszczęśliwych istot, opanowanych przez straszne *taedium vitae*; to jednak okoliczność ta nie zwalnia ich z pod zarzutu, iż okropne środki, jakich się w tym celu chwytają, są im znane ze złych swych skutków. Nic

mogąc poprawić warunków życia doczesnego, starają się oni wskazać swym wyznawcom cel, dla którego warto by było walczyć z trudnemi okolicznościami, chcą ich przekonać o marności wszystkiego, co doczesne. Wobec tego jednak, że cała działalność Armii, jak i sekt rosyjskich, skierowana jest, nie ku poprawie teraźniejszości, ruch sekciarski nie może mieć żadnego kulturalnego lub społecznego znaczenia.

Wprawdzie generał Booth w ostatniem swem dziele (*In darkest England* etc.) przypisuje podobne znaczenie Armii Zbawienia i kreśli nawet cały plan reformy społecznej; lecz program ten jest tak ciasny, że nie można mu przyznać żadnego poważniejszego znaczenia. I tak np. dowiedziawszy się o tem, iż roznosiciele gazet w Londynie otrzymują tylko 50% z płacy przeznaczonej przez zarobkodawcę, drugą bowiem połowę bierze dla siebie pośrednik, który zajmuje się wyszukiwaniem i stręczeniem tego zarobku, generał Booth robi mu konkurencyę, zakłada ogromne biuro pośrednicze i bierze od swych klientów tylko 2%.

„Może to być nawet bardzo szczytna filantropia, nigdy jednak podobnych zmian nie nazwiemy reformą społeczną, a stawianie sobie tak małostkowych celów — dążeniem ku niej“ — odpowiada Boothowi prof. Platter.

Rozpatrując wreszcie całość współczesnego ruchu sekciarskiego, dochodzimy do przekonania, że jest on raczej ruchem etycznym o religijnem tylko zabarwieniu, niż *czysto* religijnym, a charakter ten noszą na sobie zarówno sekty rosyjskie, jak i Armia Zbawienia.

Stefan Gacki.

FEJLETON

LIBERUM VETO.

Wielki Tydzień.

Jaki ustrój duchowy ludzkość mieć będzie za lat tysiące lub później — nie wiemy. Być może, iż wówczas znajdzie ona najwyższe zadowolenie w rozważaniu prawd oderwanych, formuł matematycznych lub praw przyrodniczych; że ustanowi osobne święta dla obwodu koła lub siły ciążenia, że nie będzie potrzebowała wcale symbolów. Dziś jednakże niema takich upodobań; dziś zarówno dla swych myśli, jak dla swych uczuć pragnie ona objawów życia, przedewszystkiem zaś ludzi. Dlatego woli powieści, niż traktaty naukowe, przenosi bohaterów nad systemy filozoficzne, najchętniej zaś zwraca swe oczy ku wielkim postaciom, których głowy widzi w niebie, a stopy na ziemi. Jeden ze starych poetów polskich powiedział: „trudniej jeden dzień przeżyć, niż napisać księgę.“ Zgodnie z tą uwagą przedmiotem najpowszechniejszego uwielbienia nie są ci, którzy pozostawili światu najmędrsze księgi, ale ci, którzy mu dali najwznioślejsze przykłady życia. W tym ostatnim względzie na szczycie istnień stoi Chrystus, wielkie światło, które przez dziewiętnaście wieków na całym niemal obszarze kultury rozjaśnia ludzkości ciężkie, kręte, zawrotne drogi pochodu. Z łona jej nie narodził się nikt inny, ktoby zaćmił tę promienną postać, ktoby przed Ukrzyżowanym nie pochylił czoła. Nawet twórcy nowych religij, jak Machomet, nie usiłowali zgasić blasku tej pochodni świata. Jeżeli wyłączymy z rachuby lekkomyślne lub waryackie pokrzyki, nie znajdziemy w chórze dziejów ani jednego poważnego głosu, któryby ubliżył ofierze spełnionej na Golgocie. W tej ofierze każdy prawy rozum, każde czyste serce ma jakąś cząstkę, która jest dla niego drogą, którą kochać i szanować musi. W naszych czasach, kiedy żywioły społeczne, dążenia, zasady, systemy starły się z zapamiętałą nienawiścią, kiedy przeciwnicy i wrogowie zdruzgotali lub sponiewierali wzajemnie swoje bogi, swoje ideały i sztandary, śród tej walki jeden tylko Chrystus pozostał nietkniętym przez żaden zastęp bojowy, śród tej burzy na oceanie życia jedna tylko latarnia krzyża stoi nienaruszona, nawet nieobryzgana pianą rozhukanych fal.

Ile jest gatunków człowieka ucywilizowanego, tyle odmian obchodu pamiątki męczeństwa i zmartwychwstania Chrystusa. Pobożny prostaczek modli się do Zbawiciela, filozof uprzytomnia sobie nieśmiertelną tragedyę poświęcenia dla idei. Ale każdy wie i czuje, że przed tysiącami lat spełnił się wstrząsający akt, który przez tę olbrzymią odległość czasu sięga aż do dni naszych swoją grozą, swoim urokiem i swoim wpływem. To nie był wypadek, który leży zagrzebany w pyle wspomnień historycznych, skąd go wydobywają badacze i wtłaczają w głowy uczniom nauczyciele, lecz to był wiosenny grom, którego huk wszyscy dotąd słyszą i blask widzą. Miliardy ludzi narodziły się i umarły w Europie, nie wiedząc nic o Kolumbie i Koperniku, ale może ani jeden człowiek nie zeszedł w tym czasie ze świata, nie wiedząc nic o Jezusie.

I doprawdy, przyznać trzeba, europejski odłam ludzkości jest bardzo szczęśliwy, że najwyższy wzór życia ma w Chrystusie. Jeżeli dziś skarżymy się na przeżytki barbarzyństwa, na ciągłe odchylanie się linii postępu w kierunku popędów zwierzęcych, o ileż okropniejszym byłby stan naszej kultury, gdyby jej rozwojowi przyświecał jakiś śmiały bandyta, jakiś tępiący niewiernych fanatyk, a nie wcielenie dobroci, miłosierdzia, przebaczenia i miłości! Zaiste, trudno ściśle określić, raczej tylko przeczuć i domyśleć się można, ile razy Chrystus uratował ludzkość od powrotu do dzikości, o ile dotąd powstrzymuje ją od rozkiełznania złych instynktów, ile poskramiających i smutnych spojrzeń padło na nas z krzyża. Dla jednych ten krzyż jest pociechą, dla drugich wyrzutem, dla innych groźbą. W imieniu i w obliczu jego spełniają się jeszcze straszne grzechy, dokonywają się zbrodnie, które niegdyś na nim rozpięły Zbawiciela, ale cierpiący widząc w nich śmierć Chrystusa, wierzy zarazem w jego Zmartwychwstanie.

Kontrastów czynu i słowa z ewangelią nie brak naszej epoce. Zdaje się nawet, jak gdyby ona chciała z jednej strony posunąć sprzeczności do najdalszych krańców, a z drugiej utrzymać pozory zgody tego, co robi, z tem, co wyznaje. Próżny wysiłek! Na jej tle odbijają się ogniste głoski przykazania, będącego dla niej piętnem i napomnieniem: „nie będziesz brał imienia Pana twego daremnie“ — dodać można — i obłudnie.

Byłoby to trudem zbyt wielkim i bezużytecznym, gdyby ktoś w szczegółowem zestawieniu wykazał, jak dalece dzisiejszy świat chrześciański jest niechrystusowym. Jeśli wszakże chodzi tylko o główne kontury przeciwieństwa faktów i ich fałszywych imion, dość rzucić okiem na jakąkolwiek dziedzinę życia, ażeby je dostrzedz wyraźnie. W chwili np., kiedy w „państwie bojaźni bożej i dobrych obyczajów“ rozpamiętywano nabożnie naukę i męczeństwo Chrystusa, jednocześnie prasa niemiecka ukoiła swe wzruszenia w Wielkim tygodniu następującą wiadomością, którą szczególnie przejęła z chwytem „Gazetę *krzyżową*“: „Obecny typ karabina niemieckiego jest bardzo daleki od doskonałości — działa niedokładnie i zaledwie na 1,000 metrów. Ma być więc zastąpiony nowym, który wyrzuca kulę na odległość 4,000 metrów (przeszło 3 wiorsty) i uderza skutecznie. Również i obecne armaty „pozostawiają wiele do życzenia“: są zbyt ciężkie i niesprawne. Nowe będą daleko lżejsze i mogą dać 10 strzałów na minutę. Nadto rząd niemiecki zaopatrzył wojsko w znakomitą mitraliozę, która miota pociski bez przerwy i pozwala swój magazyn naładować 400 nabojami w ciągu kilku sekund.

Naładowane temi nowinami serce „Gazety *krzyżowej*“ strzela także bez przerwy salwami radości — w Wielkim tygodniu — w dniach pamiątki, która jej przypomina, że za prawdę, za miłość ludzi, za chęć związania ich braterstwem i sprowadzenie na ziemię wiecznego pokoju umarł śmiercią męczeńską na krzyżu Chrystus. Straszna ironia i straszna obłuda!

Na szczęście obłuda ta mimo swych rozmiarów nie wygania z dusz ludzkich tego ideału, którego jest zaprzeczeniem. Po ciemnej powierzchni życia przesuwa się ciągle świetlisty cień ukrzyżowanego Zbawiciela i pociąga za sobą spojrzenia zarówno tych, których olśniewa, jak tych, których zawstydza. A chociaż od kilkunastu wieków ludzkość naśladuje Piotra, jednocześnie wierzy w jego Mistrza. Bo w jej zboczeniach tkwią pobudki przemienne, a w jej niedoścignionym wzorze — wieczne. Nie będzie ona już taką, jaką była drużyna Chrystusa, bo posunęła się dalej w rozwoju umysłowym, ale dokądkolwiek zajdzie, nawet stanąwszy na najwyższych szczeblach kultury, musi uznać miłość bliźniego, sprawiedliwość, równość, współczucie dla niedoli, przebaczenie win odpokutowanych żalem — za godła święte. A wtedy na owych szczytach cywilizacyi objawi jej się zmartwychwstały Chrystus, który uczył przed wiekami tych samych prawd i umierając na krzyżu, nie rzucił swym katom przekleństwa, lecz wyszeptał konającemi ustami słowa przebaczenia. Tego wspaniałego obrazu nie zatrze najzuchwalsza ręka w przyszłości.

Poseł Prawdy.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA POLSKA.

Eliza Orzeszkowa: *Iskry*. Nowele. Warszawa, 1898. nakł. Gebethnera i Wolffa, str. 279.

W najświeższej pracy Leona Tołstoja, w studyum jego o sztuce, pełnem niezależności, surowych prawd, głębi, odsłoniętych przez rozdarcie osłon konwenansowo utartych poglądów i jak zwykle paradoksów, znajduje się myśl jedna, któraby dawno już powinna była zwrócić uwagę piszących. Znakomity autor „Anny Kareniny“ zastanawia się nad ogromem wysiłków i trudu, którym społeczeństwo okupuje rzekomą rozkosz estetyczną, wytwarza tak zwaną sztukę i zapytuje: czy to jest racyonalnem, że taka ilość pracy zużytkowywa się w ten sposób i czy dzieła sztuki obecnej zasługują na to, aby na nie pracowały setki tysięcy rąk? Próba w teatrze, przytoczona dla przykładu a odmalowana ze świetną plastyką, przypominającą najlepsze ustępy jego powieści, znakomicie ilustruje jałowość mozołów, położonych przy wystawianiu np. opery błahej i bezcelowej, która przebrzmi równie szybko, jak dźwięki wyrzucone z piersi najznakomitszego nawet tenora. I czytelnik z przerażeniem

wraz z autorem zadaje sobie pytanie, po co to wszystko, dla kogo, kto zmusza tylu ludzi przez czas tak długi pracować tak ciężko nad rzeczą marną i nieużyteczną? Rozmyślania podobne musiały się nieraz nasuwać tym, co kiedykolwiek mieli do czynienia z większą ilością książek, a dla tego, kto się przez chwilę chociażby przyjrzał wrzącej pracy drukarni, pełnej turkotu, zaduchu i kurzu, kto widział wycieńczone postacie zecerów, pochylone nad kasztą, ich oczy przymrużone zmęczeniem i chorobliwe wypieki na twarzy, dla tego książka przestaje być tylko dobrym albo złym wytworem ducha ludzkiego i nosabia także ciężki znój wielu udręczonych nadmierną robotą pracowników i jest jakby skropleniem potu, spływającego krwawo z czoła skazanych na wieczną niewolę białych murzynów. Jest to zapewne uwaga paradoksalna, ale trudno ją odpędzić w chwili czytania efemeryd z doby dzisiejszej, podszytych bezczelną blagą i chęcią zyskownego rozgłosu, trudno nie przyznać, że ludzie ci, co na rynki księgarskie wyrzucają nowelistyczne „motyle," rozmaite wyjątki z rozmaitych „albumów," garstki, wiązki i okresu ostatnich Rzymian sięgające plotki, że ludzie ci powinniby sami pracować nad wytłoczeniem swoich własnych utworów. Pisaliby wtedy mniej, literatura nie byłaby zachwaszczona suchemi badylami czczych pomysłów powieściowych, przystrojonych papierowymi kwiatami tandety artystycznej, a społeczeństwo dłużej i baczniej przyglądałoby się brylantowym iskrom, spadającym z pod pióra Orzeszkowej, perłom łez, rozsypanym przez Konopnicką na szarych zagonach naszych wsi, tym pracom, które poczęte były w wielkiej miłości, albo w wielkim bólu...

Wyobraźmy sobie rzeszę ludzi, zamkniętą w jakimkolwiek gmachu bez okien, oświetlonym przez kilka otworów w sklepieniu, smutnym szarością ścian i tłoczącym ciężkością swoich żeber sklepieniowych; najbardziej przygnębieni więzieniem rzuciliby się niezawodnie do drążenia ścian i wywiercania w nich otworów, pracowanoby niezawodnie długo i mozolnie, a wreszcie udałoby się tu i owdzie wykroić szczeliny i wstawić w nie okna—wówczas z chciwością wszyscy spoglądaliby na nowe i nieznane widoki. Czy opłacilaby się zmudna praca, podjęta w celu rozejrzenia się w okolicy, gdyby przez szkło szyb ujrzeć można było jedynie piaszczyste wydmy, albo wązki szmat bruku i kilka pospolitych kamienic, albo rynsztok, którym płynie mętna i cuchnąca woda? Temu, ktoby okna wstawił z tej strony, skąd widok na pola, szczere, złociste od zbóż, na lasy, gwarne tajemniczym szumem, i łąki, na pas nieba usiany gwiazdami, na morze bezbrzeżne wielkie i błękitne, temu byłaby najwdzięczniejsza ta rzesza ludzi, zamknięta w owym zacienionym gmachu, i do tych okien niezaprzecznie cisnęłyby się największe gromady znękanych, chociażby nawet gdzieindziej szyby wprawiono misterniej ze szkła piękniejszego.

Gwiazdy znowu pokazała nam Orzeszkowa w ostatniej pracy swojej i dlatego jest ta książka, chociaż nie wszędzie doskonała, tak piękna i, powiedzielibyśmy, kochana, gdyby ten wyraz nie był tak rażąco nieodpowiedni w stylu literackim. Tylko tytuł jej nie wydaje się nam stosowny. Do iskier przyrównał w świetnem studyum twórczość Voltaire'a Emil Faguet; to zaś, co rozsypała przed oczami społeczeństwa Orzeszkowa, nie jest ani snopem strzelistym iskier, które ciska komin lokomotywy, ani też deszczem świetlnych kropel, lejącym się z wypuszczonej wysoko w wieczornej godzinie racy; są to punkciki drobne, co prawda, ale jaśnieją ogniem, zaczerpniętym ze źródliska światła wiecznego, niby gwiazd sieć złota, rozrzucona na nocnem niebie. Szyby są więcej lub mniej mętne, czasami czyste zupełnie — i wtedy blask spływa strumieniem jasnym i życiodajnym, wszędzie wszakże widać gwiazdy. Czytając „Iskry" jednym tchem (wiele rzeczy po raz drugi, bo wszystkie nowele wyszły uprzednio w czasopismach), doświadczaliśmy prawie ustawicznie dwu wrażeń: z jednej strony zmysł prawdy, wykształcony na najnowszych utworach bezwzględnego realizmu, raziła pewna sztuczność życia, wynikająca z dążenia autorki do wywołania z góry zamierzonego efektu oraz konwencyonalnością postaci, które stworzono nie dla nich samych, nie po to, abyśmy się najwszechstronniej zapoznali z ich treścią wewnętrzną, lecz dla tendencyjnie obmyślanego ugrupowania na wzór drugorzędnych osób scenicznych, które się zjawiają na widownię, żeby ułatwić bohaterowi wykonanie kulminacyjnego czynu i wygłoszenie tyrady; z drugiej zaś strony wdzięczni bylibyśmy autorce za ów efekt ostateczny, i zachwyt nas ogarniał przed mistrzowskiem malowaniem tych ludzi, których coraz mniej się spotyka obecnie śród karyerowiczowskiego kuligu dni naszych, i uczuć, mających woń kwiatów, co nie rosną wcale albo rosną coraz rzadziej na bruku naszych „przemysłowych" miast, w atmosferze okresu kapitalistycznego. Zupełnie podobnego uczucia doznaje się w teatrze o niezupełnie doskonałej machineryi, gdzie słychać, jak skrzypią koła za pomocą transmisyj podnoszące dekoracye, jak się trze i szoruje o podłogę łódź, mająca płynąć morzem, gdzie królowi odpada broda, a księżniczka nie ma prawdziwie adamaszkowej szaty, gdzie jednakże porywa świetny talent sceniczny aktorów i porusza do głębi pięknem uczuć i szlachetnością uczuć wystawiony dramat... Są co prawda ludzie, którzy chodzą dla pięknych dekoracyj i zachwycają się kosztownością strojów aktorek i umeblowania salonu na widowni..! Kto co woli.

Zacznijmy od motywowania ujemnej strony wrażeń. W pierwszym obrazku p. t. „Daleko" typ studenta marzyciela jest nieco za mało zindywidualizowany i przeto szablonowy. Prócz tego, że pochodzi z Polesia i prócz kilku wyrażeń wziętych z gwary miejscowej, nic go nie wyróżnia od licznej w naszej literaturze galeryi studentów marzycieli, cierpiących z potężnym ascetyzmem w ukochaniu idei głód; od wielu dni nic nie jedząc, jest za mało realnie głodny, za wiele rozumuje szlachetnie, a kolegi, któryby swego towarzysza, zagrożonego suchotami, zapytywał żartem na ulicy, czy jeszcze nie pluje krwią, trudno wprost sobie wyobrazić! Strona zewnętrzna życia studenckiego, opisana pobieżnie i ogólnikowo, tak że całe usceniczowanie jest nieokreślone. Są to może drobiazgi, ale drobiazgi wadliwe i młoda generacya autorów z Żeromskim na czele pisze inaczej; chwyta się i zaznacza drobne rysy i drobne szczegóły, które jeśli są wybrane trafnie i wzięte z rzeczywistości, znakomicie potęgują wrażenie prawdy, bo trzeba znać rzecz jakąś wybornie, mieć z nią do czynienia długo, aby podpatrzyć charakterystyczne drobnostki. Tak samo uplastycznia życie największy ze wszystkich plastyków Tolstoj.

Kazimierz Zdziechowski.

NASZA LITERATURA DLA LUDU.

Oceniania utworów artystycznych i dziełek pouczających dla ludu ze stanowiska naszych ukształconych gustów i wymagań jest bardzo zawodnem i często prowadzi do zupełnie błędnych wniosków. Co nam się wydaje pięknem i rozumnem, to w przekonaniu prostego czytelnika jest brzydkiem i niedorzecznem — a wówczas nasza działalność w kierunku oświaty ludu chybia celu i wydaje całkiem niepożądane rezultaty. Ponieważ to miary stosowane przy biurku okazują się nieraz fałszywemi, uprosiliśmy więc osobę, mającą długoletnie w tym względzie doświadczenie, obserwującą zblizka czytających wieśniaków i słyszącą ich sądy, o spisanie swoich spostrzeżeń, które poniżej w formie luźnych uwag podajemy.

* *

Na polu tej tak cennej, a żmudnej pracy, pierwszorzędne stanowisko zajął Promyk, który istotnie pierwsze promyki dobroczynnego światła pomiędzy ciemne masy rozsiał, a jego *Gazeta Świąteczna* pozostanie niezaprzeczenie dziełem wiekopomnej zasługi. Zapewne, w miarę kształcenia się ludu, i ta, na wskroś chłopska, gazetka ulegnie zmianie na lepsze — stylowej i językowej, co jej wartość podniesie jeszcze.

Cały dział wydawnictw elementarnych Konrada Prószyńskiego zjednał sobie tak powszechne uznanie, że pochwały lub słowa poparcia byłyby zupełnie nie na miejscu.

Bardzo dobre są również utwory jego treści ekonomicznej i społecznej; wyborne „Stopniowo opisanie świata" — rodzaj początkowej geografii.

Natomiast wydawnictwa beletrystyczne, nakładu Księgarni Krajowej, wyglądają nieco pierwotnie, w porównaniu z tylu ładnemi nowemi rzeczami.

Przechodząc z kolei do wydawnictw mających główny swój skład w księgarni Wizbeka, zaznaczyć należy:

1) Wszystkie książeczki rolnicze, zwłaszcza Śniegockiego, są doskonałe.

2) Z pośród dziełek lekarskich niedość praktycznemi się wydają d-ra Zieleczaka—„Co robić, ażeby być zdrowym" i „Poradnik dla kobiet." Nie prędko bowiem jeszcze nasze wieśniaczki będą mogły kazać sobie sporządzać ciepłe kąpiele.. poić swe niemowlęta kobylem mlekiem... a siebie winem pokrzepiać; nieprędko też wieśniacy wogóle zaczną spożywać codziennie mięso, oraz takie drogie produkty, jak masło i jajka, dające im możność ciułania sporo groszy, zwłaszcza, że żołądki ludzi pracujących na powietrzu potrzebują oprócz jakości i znacznej ilości pokarmowej. Szkoda również, że w książeczce zatytułowanej: „Jak zbudowane jest ciało człowieka" — autor nie pominął dwóch ostatnich rozdziałków, traktujących o embryologii. Objaśnienia te niewielką korzyść przyniosą czytelnikom starszym, a ze względu na nie — młodszym całości nie można dawać do czytania.

3) Książki treści naukowej są wszystkie nader starannie redagowane: streszczenia zaś M. Brzezińskiego — świetne!

4) Wydawnictwa powieściowe odznaczają się bardzo dobrym wyborem. Największe budzą zajęcie przeróbki z Kraszewskiego, Orzeszkowej, Junoszy... co powinno posłużyć za wskazówkę, że pożyteczniej jest robić skrócenia z dobrych powieści, pisanych dla inteligencyi, niżeli tworzyć rzeczy liche specyalnie dla ludu. Trzeba bowiem wiedzieć, że chłopi wolą stokroć wszelkiego rodzaju cudowności, nieprawdopodobieństwa, fantasmagorye, od banalnych dykteryjek o Maćkach i Baśkach.

Ale przy przeróbkach niezmierną należy zwracać uwagę na najdrobniejsze szczegóły, mogące niekorzystnie oddziaływać na całkiem bezkrytyczne umysły tych niewyrobionych czytelników. Po co, naprzykład, zostawiono w „Starej Baśni" — sensacyjny obrazek żywcem palonego szpiega-Niemca? Czy i bez tego mało mamy dowodów okrucieństwa śród ludu naszego?

Albo „Michałko — Prusa" — czyliż to obrazek stosowny dla ludu? Jedynego psychologicznego momentu, który stanowi całe piękno utworu, nie zrozumie chłop, bo

na to potrzeba subtelnie wyrobionego umysłu; natomiast wybornie zrozumie, że aby pozyskać miłość kobiety, trzeba ją przedewszystkiem poniewierać i skopać nogami.

Zdrożne rzeczy wypisuje dla ludu Dygas! Jego „Przyjaciel koni“ — jest największym nieprzyjacielem swego ulubionego siwosza, którego zabija bez żadnej ku temu potrzeby, ponieważ tę samą przysługę — owemu podróżnemu — mógł wyświadczyć najmnym, mniej zmęczonym koniu. W „Małgorzatce, matusinej pieszczoszce“ — spotykamy aż dwie dorażne kary boskie — za dobre uczynki!.. Matka Małgorzatki umiera skutkiem tego, że pomogła dźwignąć wóz jakiemuś biedakowi, co w błocie ugrzązł, a narzeczonego tratują na śmierć rozbiegane konie po prostu za to, że był dobrym, usłużnym i wiernym sługą. O „Dziadku Florku i chłopcu Beldonku“— niżej przytoczoną dosłownie opinię wydała żona włościanina, czytającego głośno tę powiastkę: — „A nie wziąłbyś raczej siekiery do ręki, niż masz nad takiemi bzdurstwami czas tracić!“ — I istotnie, czyliż nie jest wielką niedorzecznością dla chłopa takie proste wydarzenie, jak to, o którem opowiada autor, że dziadek-żebrak, sam coś ukradłszy, kazał za to obić chłopca? Przecież o tem, że mało który chłop nie kradnie, wie z nich każdy... Oni tylko w miarę budzenia się w nich — nie poczucia jeszcze, ale przeczucia — godności osobistej, nie lubią, aby im tę wadę wypominano... Wcale zaś nierozwinięta dotychczas strona etyczna uczuć u ludzi prostych czyni im wprost niedostępnymi, niepochwytnymi, wszelkiego rodzaju ideały życiowe.. Więc zarówno nie urazi ich pojęć moralnych niesłuszne ukaranie chłopca, jak nie znajdzie do ich umysłów przystępu wiara w zamiłowanie nauki dla nauki..

Zważywszy te i tym podobne względy, poznać dopiero można, jak daleko jest rzeczą odmienną, odrębną, pisać dla ludu i pisać o ludzie. Zaliczone do tej ostatniej kategoryi, tak „Michałko,“ jak „Małgorzatka,“ oraz inne tego rodzaju utwory, stają się bardzo ładnemi obrazkami — ale dla inteligencyi..

A teraz pytam: jaki ma cel przeróbka nudnej, ciężkim stylem pisanej powieści T. J. Jeża „Kuźma Jeż,“ której motyw, główne tło stanowiący, jest czemś tak dalece nieprawdopodobnem, że dla chłopa nie może być zrozumiałym? Chyba chodziło autorce o dokuczenie szlachcie; ale i w takim razie nauczka, zwrócona do dzisiejszej, nie jest właściwą — wobec prawnego zrównania stanów.

W tym samym tonie traktowaną jest i druga, doskonale zresztą napisana, książeczka F. Morzyckiej „Z dalekiej północy,“ gdzie główny nacisk położonym został na pomyślność narodów, nieznających różnic kastowych... bez odpowiedniego wszakże wyjaśnienia, iż taki rozwój społeczny możebnym bywał jedynie w bardzo małych i bardzo ubogich państewkach. My, kształtujący się w odmiennych nieco warunkach od reszty Europy, powinnibyśmy chyba wszelkiemi siłami dążyć do zbratania i zespolenia wszystkich warstw społeczeństwa naszego. Tymczasem, przeciwnie, u nas jest na porządku dziennym rozdmuchiwanie przeróżnych średniowiecznych niechęci, o których cała Europa dawno już zapomniała.

Bardzo miłem i pożytecznem pismem jest tygodniczek ilustrowany *Zorza*. Aczkolwiek nie redagowana specyalnie dla włościan, coraz chętniej przez nich czytywaną bywa, zapewne w miarę, jak się i ich sprawami więcej zajmować zaczęła.

Firma Gebethner i Wolff zawiodła oczekiwania interesowanych swemi świeżemi wydawnictwami. Wyjęta z „Potopu“ — „Obrona Częstochowy,“ ze swym rozczłonkowanym na kilka części Kmicicem jest płodem zupełnie chybionym, pozbawionym wszelkiego efektu; a co gorsza, że ciągłe przeinaczanie wypadku dziejowego, tak donioslego znaczenia, może w końcu zachwiać wiarę w sam fakt.

Anczyca historyę w 24 obrazkach nietylko tytuł oszpecił, ale i też właśnie obrazki, zapożyczono w jakiejś budzie jarmarcznej, *nota bene* nie swojskiej!.. Mieczysław I wygląda, jak stójkowy w gumowym płaszczu; Łokietek jest o pół głowy wyższy od najwyższego z chłopów; Jadwiga—garbata: słowem, formalny rozbrat nietylko z estetyką, ale i z logiką. Przy drugiem wydaniu dobrze-by było poczynić poprawki. Po co zostawiać czytelników w tem błędnem mniemaniu, że Kazimierz III rządził się kaprysem, oddając tron polski królowi węgierskiemu, albo, że siostra jego Elżbieta była jakąś płochą lafiryndą — i t. p.?

Mickiewicz jeszcze za trudny dla ludu. Jedynie „Pana Tadeusza“ zalecić można.

Za to zbiory pieśni Glogera ogromne mają powodzenie. Młodzież zwłaszcza wprost je rozchwytuje. Warto przeto pomyśleć o szerszem rozpowszechnieniu tych udatnych swojskich piosenek.

Każdy, ktokolwiek dotknął się czytelnictwa ludowego, wie o tem, że świeżo rozbudzona imaginacya ludu chłonie dziś wszystko chciwie, bez wyboru prawie. Przedewszystkiem podobają się ludowi książki treści religijnej i historycznej, chociaż i naukowe też bardzo pilnie są czytane. Wielkie zajęcie budzą podróże, oraz opisy różnych nadzwyczajnych wypadków.

Z biegiem czasu nie łatwo i nie byle czem dadzą się zadowolnić wymagania ludu naszego. A tu tymczasem książek dla niego tak jeszcze mamy mało!

Ponieważ świadomość krytyki nie prędko zapewne wyłoni się z surowego umysłu chłopa i długo będzie on wierzył na ślepo wszystkiemu, co mu druk poda, zatem literatura ludowa powinna być tendencyjną — o charakterze dodatnim koniecznie! Zanadto wiele stron ujemnych życia ma przed oczami lud, aby go i w książkach tą strawą karmić było potrzeba.

Więc i przeróbki historyczne niechże się odznaczają cechą dodatnią, oraz niezmierną ścisłością, jedynie bowiem za pośrednictwem powieści mogą się ci maluczcy umysłem nauczyć dziejów ojczystych.

Źle również czynią ci, którzy, pisząc dla ludu, posługują się jego narzeczem. Wszak nie w szkołach, do których nie uczęszczają, lecz przez czytanie wyłącznie chłopi nasi mogą nabyć mowy poprawnej.

W tytułach poważniejszych książek unikać trzeba objaśnień: *dla dzieci i młodzieży*, ponieważ starsi włościanie mają sobie za ubliżenie czytać takie rzeczy.

Z tłómaczeniami ostrożnie! Albowiem typy obce, charaktery nie swojskie, są czemś całkiem oderwanem dla wyobraźni naszego chłopa. Po co go tedy obałamucać bez potrzeby. Zostawmy to na później.

Bardzo pocieszającem zjawiskiem jest ukazanie się wydawnictw „Biblioteczki imienia Prusa,“ kosztujących po kilka kopiejek. Istotnie, ostatniemi czasy dziwnie zdrożała literatura ludowa, co jest nieco rażącem w zestawieniu z niezmiernie taniemi wydawnictwami dla warstw ukształconych. Zapewne nie prędko jeszcze lud nasz zacznie sam nabywać książki; niemniej i dziś już on je kupuje, ale tylko do nabożeństwa lub jakieś okropności od obraźników. To też niezmiernie byłoby pożądanem, żeby ludzie dobrej woli, pracujący na polu działalności publicznej, zajęli się obmyśleniem jakiegoś środka zaopatrywania kolporterów jarmarcznych w dobre i tanie książeczki ludowe.

A teraz pytanie: Jeżeli fundusz imienia B. Prusa został przeznaczonym na wydawnictwa dzieł ludowych, czemu wszystkie książeczki, które wyszły dotychczas tym nakładem, są pisane dla dzieci wyłącznie, i to nie włościańskich bynajmniej? Gdyby tak dalej poszło, nie byłoby powodu cieszyć się z taniości tych wydawnictw.

J. F.

PRZEGLĄD MUZYCZNY.

Ostatnie tygodnie przyniosły nam znów kilka popisów fortepianowych, których wogóle mamy przewagę w bieżącym sezonie. W Towarzystwie muzycznem przypomniał się publiczności p. Lamond, Szkot, fortepianista-wirtuoz w najściślejszem tego słowa znaczeniu i do tej właściwości swego talentu dobierający też odpowiedni repertuar. Ostatni program składał się wyłącznie z utworów Liszta („koncert es dur,“ z towarzyszeniem orkiestry, fantazya z „Don Juana“ i transkrypcya marsza „Militaire“ Schuberta), które pozwoliły artyście wykazać całą siłę, porywający temperament i wielką technikę swej gry. Żałowaliśmy wszakże szczerze, a nie byliśmy niewątpliwie w tym żalu odosobnieni, że p. Lamond, zamiast koncertu Liszta, kompozycyi zawiłej, w której frazesy nie łączą się, nie wypływają jeden z drugiego, a za motyw przewodni służy fantastyczny urywek, z kilku taktów złożony — nie powtórzył wspaniałego koncertu Czajkowskiego, którego wykonaniem takie powszechne zdobył uznanie za ostatnim pobytem. Orkiestra, pożądany zawsze bardzo czynnik w popisach koncertowych, odegrała nader poprawnie jedno z najlepszych dzieł Noskowskiego, uwerturę „Morskie Oko“ i „Wielką fantazyę f mol“ (pierwszy raz) Schuberta.

Niejednokrotnie mieliśmy już sposobność wypowiadać zdanie o p. Katarzynie Jaczynowskiej, dziś zatem, po ostatnim jej popisie, powtórzyć tylko chyba należy pochwały, oddawane już poprzednio inteligencyi, polotowi, subtelności gry młodej artystki. Program koncertu (własnego) obejmował dwa dzieła wielkie: „Sonatę b mol“ Chopina i „Humoreskę b dur“ Schumanna oraz utwory drobniejsze Mendelssohna, Schuberta, Liszta i Rubinsteina. Z sonaty najlepiej wyszło w wykonaniu koncertantki „Scherzo“ — do należytego oddania wściekłego, gryzącego bólu, rozpaczliwego szamotania się, którego wyrazem jest „Finał,“ przejść trzeba przez „ciernie i głogi“ życia. Stąd też życzymy p. Jaczynowskiej, aby za wykonanie tej części sonaty jak najpóźniej zbierała bezwzględne uznanie. Schumann, jak się zdaje, jest ulubionym jej kompozytorem i jego też utwory, jak zaznaczaliśmy już nieraz, bez zarzutu niemal wychodzą w jej wykonaniu. Mało kto umie jak p. Jaczynowska wniknąć w ducha tych nieśmiertelnych kompozycyj i grą pełną poetycznego polotu, jasną, drgającą uczuciem, nigdy o sentymentalizm nie potrącającem, wyprowadzać słuchacza z manowców, po których myśl mistrza tak często błądziła. „Pieśni bez słów“ (g mol i a dur) Mendelssohna, a nadewszystko „Du bist die Ruh“ Schuberta w układzie Liszta odegrała koncertantka wprost po mistrzowsku, szeroko prowadząc śpiew i zdumiewając powiewnością tonu i delikatnością uderzenia.

Świadomy siły swojego talentu Śliwiński nie zawahał się przed powtórnem wystąpieniem w Towarzystwie muzycznem w odstępie zaledwie dwutygodniowym, i sale Redutowe przepełniły się ponownie słuchaczami, a ci ponownie, nie mając dosyć czternastu numerów programu, zmuszali artystę do naddatków, między którymi znalazł się taki hojny, jak „Polonez as dur“ Chopina. Rozpoczął Śliwiński ostatni swój popis „Sonatą d dur“ Beethovena, a słuchaczów, znających romantycznego ducha gry artysty, podziwem

przejął klasyczny spokój, prostota, szlachetność i wzniosłe umiarkowanie, z któremi oddał wspaniałe dzieło, a które najszczytniejszy wyraz znalazły w „Andante.“ Mendelssohn, Schumann, Chopin, Henselt, Rubinstein, Liszt, Wagner przemawiali za sprawą Śliwińskiego kolejno do publiczności, a każdy swoim odrębnym językiem, każdy stylem własnym, opromienionym blaskiem geniuszu wykonawcy.

Barcewicz nie narzuca się zbyt Warszawianom, nie często żąda od nich dowodów uznania dla swego talentu, to też gdy wystąpił z własnym koncertem, zapełnili salę Redutowe, spragnieni tych wzniosłych wrażeń, jakie daje zawsze gra naszego znakomitego skrzypka. Sprawozdawca, wobec artysty tak dojrzałego nie chce wpaść w czczą frazeologię, ograniczyć się może tylko stwierdzeniem mistrzowskiego wykonania wszystkich numerów programu. Składał się on z „Koncertu c dur“ Moszkowskiego, „Symfonii hiszpańskiej“ E. Lalo z towarzyszeniem orkiestry, oraz „Poloneza d dur“ Wieniawskiego, grywanych już nieraz przez Barcewicza i z kilku drobniejszych utworów kompozytora węgierskiego, Hubaya, zręcznych i efektownych, zwłaszcza „Zephir“; natomiast „Scene de la Csarde“ wydała nam się kompozycyą plytką i banalną. Świetnie usposobiony artysta, wywdzięczając się za grzmiące oklaski, wieńce i podarunki, nie skąpił naddatków.

Koncert zagaiła orkiestra teatru Wielkiego pod dyrekcyą Noskowskiego odegraniem uwertury „Egmont“ Beethovena, której piękności znikły śród hałasu, spowodowanego stałym zwyczajem spóźniania się Warszawian na koncerty.

Gorliwej działalności sekcyi Moniuszki, która wzięła sobie za zadanie wydawnictwo i rozpowszechnianie dzieł twórcy „Halki,“ zawdzięczamy niewątpliwie w większej części wieczory „Moniuszkowskie,“ urządzane od czasu do czasu przez Towarzystwo muzyczne, a z przyjemnością stwierdzić nam przychodzi, że publiczność wspólne te usiłowania sekcyi i Towarzystwa skwapliwie popiera. Nie było nazwisk wybitnych śród wykonawców programu ostatniej środy, a mimo to sale Redutowe zapełniły się słuchaczami i mieliśmy wrażenie, że Warszawianie zaczynają się umuzykalniać, bo przyszli słuchać nie *jak*, ale *co* śpiewają i grają artyści.

Program rozpoczęła orkiestra jedną z piękniejszych uwertur Moniuszki, „Bajka,“ a zakończyła „Tańcem hiszpańskim“ z baletu „Monte Christo“; nadto zaś towarzyszyła chórom i solistom (panna Rapacka i p. Redo) do ballady „Rybka.“ Nie jesteśmy zwolennikami przeróbek i transkrypcyj—skoro kompozytorowi natchnienie poddało utwór na jeden głos, przekształcenie go na dzieło chóralne szkodę mu tylko przynieść może, pacząc zamiary twórcy. Na poparcie naszych słów przytoczyć możemy wykonane przez „Lirę“ pieśni, które dużo, choć ułożone przez takiego muzyka, jak Jan Gall, z prostoty i właściwego wdzięku utraciły w tej chóralnej szacie; zwłaszcza „Wędrowna ptaszyna,“ domagająca się koniecznie solowego odśpiewania. Zdarza się wszakże niekiedy, iż kompozytor nie obliczy się z techniką wykonawczą i napisze na głos solowy utwór, mogący tylko w chóralnem oddaniu wywrzeć należyte wrażenie. Do takich należy ballada „Rybka,“ którą świetnie instrumentował i rozłożył na głosy Piotr Maszyński, a która dopiero w tej formie jest dziełem skończonem.

Soliści wieczoru, p. Borodziczówna i p. Redo, oboje młodzi, oboje obdarzeni dźwięcznymi głosami—mezzo-sopran i baryton — złożyli dowody prawdziwego uzdolnienia artystycznego, wymagającego wszakże dalszej i niemałej pracy. P. Redo jest artystą operetki, sposobem odśpiewania jednak aryi z „Halki“ i „Verbum nobile“ dowiódł, że z czasem mógłby i w operze zająć niepoślednie stanowisko; śpiewak ma dużo temperamentu, poczucie i wymowę bardzo wyraźną, powinien tylko przedewszystkiem pozbyć się nosowej emisyi głosu. W p. Borodziczównie dostrzegliśmy zadatki na bardzo dobrą pieśniarkę; jest w jej śpiewie wdzięk, prostota, dobre frazowanie i uczucie; chwiejna nieco intonacya, lękliwe zdławienie głosu było niewątpliwie wynikiem „tremy,“ nieodłącznej od pierwszego występu. Niewielki, lecz dźwięczny i czysty jak srebro głos p. Rapackiej odcinał się korzystnie na tle chóru i orkiestry w balladzie „Rybka.“

Wykonaniu numerów orkiestrowych pod wodzą Noskowskiego przyklasnąć tylko możemy, tak było we wszystkich szczegółach opracowane i zgodne z myślami kompozytora.

Br. N.

SPRAWY EKONOMICZNE.

SZKICE EKONOMICZNE.

I

System kredytowy. — Rodowód procentów — Normy odsetkowe w okresie pierwotnym. — Pożyczka dawna i dzisiejsza.

Dzisiaj kredyt jest dźwignią przemysłu, siłą zapładniającą produkcyę. Stwarza on wprawdzie w życiu ekonomicznem narodu niestałość, dostarcza bowiem podniety przesileniom rynkowym, wynikającym z rozdźwięku pomiędzy sferami wytwarzania a spożycia, ale, bądź co bądź, jest czynnikiem doniosłości pierwszorzędnej. Przedsiębiorca ma na swoje rozporządzenie cudze kapitały. Może on prowadzić interes na większą skalę, niż wtedy, gdyby musiał poprzestawać tylko na własnych funduszach. Dłużnik, o ile użytkuje z nowoczesnych form kredytu, może spodziewać się, iż nietylko zdoła uiścić procenty, należne wierzycielowi, ale nadto otrzymać jeszcze pewien zysk, procent dodatkowy — że się tak wyrazimy. Zysk ten sprawia, że ktoś, obracając cudzymi kapitałami, robi majątek. To oddawanie komuś funduszów swoich na prowadzenie interesu stało się zjawiskiem normalnem, powszechnem i cieszy się zupełną sankcyą moralną ze strony naszego cywilizowanego społeczeństwa. Jedynie w tych razach, gdy pożyczka, zamiast podniecania sił wytwórczych, staje się przyczyną czyjejś ruiny skutkiem wysokiego poziomu wymaganych odsetek, dopiero w tym przypadku utraca ona poparcie etyki bieżącej i jako lichwa ściąga na siebie nawet gniew sprawiedliwości. Lecz w olbrzymim systemie kredytowym społeczeństwa nowoczesnego taka jej forma stanowi tylko zaułek, może obszerny co do swoich rozmiarów, ale brudny, ukryty i pogardzany.

Tak rzeczy przedstawiają się obecnie. Lecz zanim pożyczka procentowa stała się zjawiskiem codziennem, zanim posiadła sankcyę moralną w społeczeństwie i zaczęła być siłą nie rujnującą i niszczącą, ale produkcyjną, pozwalającą dłużnikowi robić majątek, przeszły wieki całe. W dalekiej przeszłości wszelkie odsetki uchodziły za lichwę. Codzienna moralność wszystkich ludów barbarzyńskich pogardza procentowiczami, pisarze klasyczni, o ile hołdują duchowi przodków, potępiają pobieranie odsetek, ojcowie kościoła, ci ekonomiści i moraliści Europy średniowiecznej, oburzają się na wszelkiego rodzaju ciągnięcie zysków z udzielonego komuś mienia. W Rzymie prawo dwunastu tablic karze pobieranie procentów. Kato zaś jeszcze pisze: „Przodkowie nasi postanowili i prawem potwierdzili, że złodziej w dwójnasób powraca wartość popełnionej kradzieży, lichwiarz zaś cztery razy otrzymaną kwotę. Z tego przykładu należy wnioskować, o ile ojcowie nasi uważali rzemiosło lichwiarskie za niegodziwsze i nikczemniejsze, niż złodzieja.“ W wiekach średnich sobory i papieże występują przeciw procentowiczom, statuty grodzkie obdarzają lichwę pogardliwemi nazwami, a władze municypalne Pizy—bierzemy ich postępek jako wzór dość powszechny — postanowiły pod r. 1286, że osobom, żyjącym z pożyczania pieniędzy na procenty, nie wolno mieszkać w mieście, obywatelom— dawać im przytułek, sędziom— sądzić ich. Jeszcze Luter nie inaczej zapatruje się na wszelką pożyczkę procentową. W jednem z kazań jego znajdujemy gorące wystąpienie przeciw pożyczającym: „Przestań upiększać!.. Jeżeli ktoś z powrotem otrzymuje więcej lub coś lepszego, niż dał, jest to już lichwa. Nie okazuje on bliźniemu swemu najmniejszej usługi, lecz wyrządza taką samą szkodę, jak złodziej i rabuś. Niepodobna uważać za dobrodziejstwo i usługę to wszystko, co za takie uchodzi powszechnie!“

Pobieranie procentów zdobywa więc w społeczeństwie prawo obywatelstwa zwolna, w ciągu wieków, w miarę rozwoju swobodnej wymiany. Ich wynalazcami są kupcy, którzy w każdem społeczeństwie stanowią żywioł napływowy, obcy, wolny od barbarzyńskiej etyki solidarności wzajemnej, a natomiast, zgodnie z zasadami moralności ówczesnej, uprawniony do zdarcia ostatniej koszuli z grzbietu cudzoziemca. Kupcy torują drogę obcokrajowcom wogóle, których losy zagnały na obczyznę. Przewybornie to ujawnia się na przykładzie Żydów. Stary Testament surowo karci wszelką pożyczkę procentową względem swoich, to samo czynią księgi talmudyczne, choć ściąganie odsetek z osób obcego wyznania uważają za godziwe. Antisemici tego rodzaju podwójną moralność gotowi są uważać za wyłączny przymiot synów Izraela, ale etnografia porównawcza wykazuje, iż w tym razie mamy do czynienia ze zwyczajem powszechnym. Obywatelowi rzymskiemu nie wolno było pożyczać swoim na procenty, lichwą trudnili się t. zw. „łacinnicy,“ tj. osoby, pochodzące z innych miast Italii i zamieszkałe w Rzymie; natomiast obywatele rzymscy uprawiali ten proceder w stosunku do podbitych prowincyj. Procent, jako też cała moralność, właściwa światu towarowemu, najeżdża społeczeństwo pierwotne z zewnątrz; powstawszy na punktach zetknięcia się wrogich grup, wdziera się w łono plemienia barbarzyńskiego, niszczy panujące tam zasady spólnictwa pierwotnego, przeciwstawia rodaków sobie nawzajem jako posiadaczy towarów i rozpowszechnia duch nowy. W społeczności pierwotnej cudzoziemcami są kupcy, cudzoziemcami procentowicze. Normy procentu, pobieranego przez lichwiarzy pierwotnych, kształtują się według zysków, płynących z handlu tej sfery, w której skarb po raz pierwszy staje się kapitałem. Kupiec-cudzoziemiec zaś, przybywający do danego kraju w pewnych odstępach czasu lub tylko przypadkowo stykający się z jego ludnością, niepoczuwający się do żadnych węzłów solidarności, ciągnie ze swego procederu zyski jak największe. Można o nich wyrobić sobie jakie takie wyobrażenie, badając normy dochodu kupieckiego na krańcach naszej cywilizacyi, tam, gdzie wchodzi ona w sto-

sunki zamienne z ludami pierwotnymi. Kupcy np. mieszkańcom Altaju sprzedają herbatę za cielęta, które pozostawiają u Kałmuka na lat cztery dla odkarmienia. Cielak wart niewiele, ssie jeszcze matkę; po czterech latach wart jest 15—20 razy więcej. Jeżeli okaz taki zdechnie, kupiec otrzymuje w zamian skórę po nim oraz nowe cielę, pozostające znowu na odchówku u Kałmuka. Zdarza się, iż taki wyzyskiwacz w ciągu lat wielu pobiera skóry i prócz tego ma wciąż żywą sztukę. Jest znany przykład, kiedy Kałmuk za dwa szydła i parę skór wiewiórczych dał aż 80 wołów. W powyższym przypadku zajęcie kupieckie wiąże się z lichwiarskiem, stanowią one całość, tak iż trudno nawet oznaczyć, gdzie zaczyna się jedno i gdzie kończy się drugie. Pierwotny kupiec właśnie występuje zawsze z takiem podwójnem obliczem. W tym handlu-lichwie powstaje norma procentów, którą będzie on stosował, gdy da komuś pożyczkę — maksymalna.

Obok tej granicy, która ukazała się w sferze wymiany, powoli powstaje jeszcze inna norma, już rdzennie miejscowego pochodzenia, oparta na wzorach, dostarczanych przez przyrodę. U Bułgarów na Kaukazie obliczają procenty według sił rozrodczych krowy, oraz jej dojności. Wzięto naprzód pod uwagę, że krowa może dać jałówkę, która w swoim czasie zostanie krową. Nadto uwzględniono wydój mleka i z okresu rocznego oceniono jego wartość na dwie owce. Ponieważ krowa cieli się corocznie, cielę zaś po upływie lat dwóch zamienia się na krowę, przeto pożyczający to bydlę na lat dwa, winien, prócz krowy, zwrócić jeszcze drugą taką samą sztukę i cielę, oraz dać jeszcze dwie owce. M. Kowalewskij mniema, że podobne zwyczaje, wyrażone już w pieniądzu, były podstawą norm procentowych prawa hinduskiego i starosłowiańskiego. Naturalnie pożyczka taka nie mogła być dźwignią, podniecającą produkcyę. Przeciwnie, stawała się ona źródłem ruiny dla dłużnika: cokolwiek krowa mu przyniosła, musiał on zwracać, a tymczasem zawsze był narażony na to, że bydlę lub przychówek mogą zdechnąć i jednak muszą być zwrócone. Przykład powyższy uwydatnia charakter pierwotny pobierania procentów.

Mniejsza zresztą, jak kształtowały się pierwotnie normy procentu. Rzecz na razie dla nas najważniejsza, iż były one bardzo wysokie. Widzimy to wszędzie wśród rolników barbarzyńskich. U murzynów na wybrzeżu Złotem odsetki wynoszą 33⅓% na dni czterdzieści, przyczem wierzyciel ma prawo żądać zwrotu pożyczonej sumy w każdym czasie i bez uprzedniego zawiadomienia. W wioskach Indyj Przedgangesowych wynoszą one 60 i nawet 300% rocznie. Dodajmy do tego jeszcze jeden bardzo charakterystyczny szczegół. Barbarzyńca, żyjący w gospodarstwie naturalistycznem, pożycza sąsiadowi ton lub inny sprzęt bezpłatnie, tj. nie wymagając procentu, ale natomiast żąda zwrotu w potrzebie. Prawo zwyczajowe dało mu do ręki cały szereg środków bardzo energicznych dla poszukiwania własności; jeśli dłużnik nadużywa zaufania, wolno przyjaciołom wierzyciela najechać i zrabować osadę dłużnika, nawet wziąć jego samego do niewoli. Może z tego źródła pochodzą zwyczaje grodów średniowiecznych, że wierzyciele w prywatnych swoich więzieniach mogli trzymać niewypłacalnych dłużników — Maciejowski znalazł u nas coś podobnego. Również takiego początku jest przepis pierwotnego prawa norweskiego, iż jeśli dłużnik nie chce odrobić zaciągniętego długu, nikt zaś z rodziny nie wykupi go, to wierzyciel może przyprowadzić go przed sąd i tam „von ihm zu hauen, was er will, oben oder unten.“ Niekiedy normy, bardziej ludzkie co do osoby dłużnika, posiadają brzmienie, grożące temu ostatniemu zupełną nędzą. U Chauzarów na Kaukazie istnieje zwyczaj, iż jeśli dłużnik nie zwraca należności, to wierzyciel może dług sprzedać komuś trzeciemu, który naówczas żąda podwójnej sumy; nabywca może swoje prawa odstąpić jeszcze komuś dalszemu, który pobiera poczwórną sumę itd. Jak skutkiem tego pożyczki nabrzmiewają, o tem świadczy przykład, podany przez M. Kowalewskiego w jego pracy o prawie zwyczajowem górali kaukazkich. Ktoś pożyczył 60 kop. na kupno jagnięcia. Po latach dwunastu dług urósł do 60 krów, tj. 600 rs. Chauzarowie mają z tego powodu przysłowie, że nawet pomiot pożyczonej krowy zamienia się na cenne bydlę. Wszystkie te zwyczaje, tak niemiłosiernie i surowo, powstały pierwotnie dla nastraszenia dłużnika, który otrzymał, jako dług nieprocentowy, rzecz jakąś lub zapomogę od sąsiada. Lichwiarz, pojawiający się w społeczeństwie pierwotnem, korzysta z tych norm i fortelі prawa zwyczajowego i zapewnia sobie, przy ich pomocy, nietylko zwrot pożyczki samej, ale i procentów, które, jak wiemy, muszą rujnować pożyczającego.

Taką jest pożyczka na zaraniu dziejowem. Ukazuje się ona tam, jako kategorya społeczna, stworzona przez obcoplemieńców, pobierająca wygórowane odsetki i posługująca się drakońskimi przepisami zwyczaju. Dłużnik nigdy nie może odnieść korzyści, lecz zawsze staje się ofiarą, skazaną na nędzę i nawet utracenie swobody osobistej. Jest to potęga społeczna, rujnująca kraj, lecz nie zapładniająca jego sił wytwórczych. Właśnie pod jej wpływem wolni kmiecie Attyki zostali wyzuci ze swoich posiadłości, włościanie Afryki murzyńskiej doprowadzeni do bankructwa, rolnicy hindusccy pogrążeni w nędzy. I nic dziw, że barbarzyniec, mając przed swemi oczyma takie wzory, przeklinał lichwiarzy, że pierwotne prawo pisane zwraca się przeciw procentom, iż ojcowie kościoła nie mają wyrazów na potępienie odsetek. Była to walka zupełnie uprawniona i ratująca społeczeństwo — rzecz, której nie zrozumiała ekonomia mieszczańska, przytaczająca odezwania się ojców kościoła i postanowienia soborów na dowód ciemnoty i niepojmowania najkardynalniejszych zasad ekonomicznych. Pożyczka zmienia swój charakter dopiero z wielkim przełomem, który nastał w Europie po wynalezieniu drogi morskiej około przylądka Dobrej Nadziei do Indyj przedgangesowych i odkryciu Ameryki. Kraje nowoodkryte stają się źródłem powstania masowego wielkich fortun. Rozpoczyna się wielki rozbój dziejowy, któremu towarzyszą obławy na ludzi w Afryce, unicestwienie ludów Peruwii w kopalniach, wyzysk Indyj. Majątki powstają jak grzyby po deszczu i dają początek gorączkowej produkcyi. Skarby, tak zwane kapitały, ze zjawiska wyjątkowego zamieniają się na powszechną kategoryę w życiu społecznem. Pod wpływem tego nadmiaru zebranego grosza procenty spadają i kapitał kupiecki oraz lichwiarski zostają podporządkowane przemysłowemu, to znaczy: winny się zadawalać tylko pewną cząstką zysków, otrzymywanych przez przemysłowca. Na takiem podłożu rozwija się dzisiejszy system kredytowy, ta olbrzymia dźwignia naszego życia ekonomicznego. Pożyczka zachowywa dawne swoje oblicze tylko wyjątkowo, gdy chodzi o pomoc osobom, niedającym rękojmi i zmuszonym do zaciągnięcia długu przedewszystkiem na cele osobiste. I odpowiednio z tem wszystkiem moralność zaczyna udzielać swojej sankcyi zwyczajowi, ongi wyklinanemu i piętnowanemu.

L. Krzywicki.

W DALI.

Petersburg. Projekt przekształcenia urządzeń ziemskich w guberniach północno i południowo-zachodnich jest już ostatecznie opracowany i będzie złożony do rozpoznania komisyi specyalnej w ministeryum spraw wewnętrznych. Projekt proponuje, ażeby na początek w gub. Kijowskiej, Podolskiej, Wileńskiej, Kowieńskiej, Grodzieńskiej, Witebskiej, Mińskiej i Mohylowskiej utworzyć instytucye ziemskie w formie gubernialnych zgromadzeń ziemskich, oraz gubernialnych i powiatowych urzędów ziemskich. W miastach Kijowie i Wilnie zawiadywanie sprawami ziemskiemi ma być poruczone zarządom miejskim, przyczem radom miejskim w Kijowie i Wilnie będą służyły prawa i obowiązki powiatowych zgromadzeń ziemskich, a urzędom miejskim—prawa i obowiązki powiatowych urzędów ziemskich. Powiaty zaś Kijowski i Wileński mają posiadać odrębne urzędy ziemskie. W ten sposób w gub. zachodnich wszystkie sprawy, które ustawa o ziemstwach oddaje gubernialnym i powiatowym zgromadzeniom ziemskim, będą należały wyłącznie do gubernialnych zgromadzeń ziemskich z wyjątkiem dwu miast, Kijowa i Wilna, których rady miejskie będą miały zarazem charakter powiatowych zgromadzeń ziemskich. Zgodnie z taką organizacyą, do gubernialnych zgromadzeń ziemskich w gub. zachodnich, oprócz wskazanej już przez prawo liczby członków, mają być jeszcze powołani powiatowi marszałkowie szlachty, dwaj prezesowie i członkowie gubernialnego urzędu ziemskiego, trzej miejscowi zarządzający dobrami państwa i wydziałem dóbr Cesarskich, czterej delegaci duchowieństwa prawosławnego i pięciu delegatów z ramienia prezydenta miasta gubernialnego. Nadto do udziału w obradach zgromadzeń gubernialnych, z prawem głosu doradczego, mają być zapraszani prezesowie powiatowych urzędów ziemskich. Według projektu, osoby pochodzenia rosyjskiego, posiadające prawo uczestnictwa w ziemskich zebraniach wyborczych, mogą upoważniać do zastępstwa administratorów dóbr swoich, o ile ci są także pochodzenia rosyjskiego, przyczem zastępcy mogą być również obrani na członków. Nie tworząc powiatowych zgromadzeń ziemskich, projekt upoważnia gubernialne zgromadzenia ziemskie do zwoływania rad, do których, pod przewodnictwem powiatowego marszałka szlachty, mają należeć członkowie zgromadzenia z danego powiatu, oraz prezesowie i członkowie powiatowych urzędów ziemskich. Radom tym będą powierzane do przygotowawczego rozpoznania sprawy, dotyczące danego powiatu. Prezesowie, jako też członkowie urzędów ziemskich w gub. zachodnich mają być mianowani przez rząd.

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. Ministeryum spraw wewnętrznych zatwierdziło fundacyę pp. Hipolita i Ludwiki Wawelbergów, którzy ofiarowali 300,000 rs. na budowę w Warszawie i okolicy tanich domów dla robotników.

— Ministeryum spraw wewnętrznych zatwierdziło projekt ustawy Towarzystwa hygienicznego.

— *Warsz. Dziennik* ogłasza: „Wobec głosów prasy miejscowej, że pożądane jest ogłaszanie sprawozdań Towarzystwa rolniczego w Hrubieszowie, P. Główny Naczelnik kraju, przyznając, iż wyniki działalności rzeczonego Towarzystwa posiadają do pewnego stopnia charakter społeczny, uznał za konieczne, ażeby na przyszłość sprawozdanie rachunkowe z rezultatów czynności tego Towarzystwa było ogłaszane corocznie, po zamknięciu rachunków, w *Wiadomościach gubernialnych*.

Prasa. P. Ryx otrzymał pozwolenie na wydawanie w Warszawie tygodnika po polsku pt. *Okólnik rolniczo-handlowy*.

Zapis. P. Marya Roeslerowa, wdowa po przemysłowcu, zgodnie z życzeniem męża swego, ofiarowała 14,000 rs. na następujące cele: na wpisy dla uczniów 1,000 rubli, na schronienie dla nauczycielek

3,000; na budowę domu dla sierot warsz. Tow. dobr. 2,000; na przytułek sierot, (Hoża 74) 1,000; na gminę ewang.-reformowaną 3,000; na szpital dziecięcy przy ul. Aleksandrya 1,000; na przytułek pod wezwaniem św. Stanisława Kostki (przy ul. Dzielnej) 1,000; na pogotowie ratunkowe 1,000; na oddział chirurg. w szp. ewangelickim, 500; na kasy dla rzemieślników przy warsz. Tow. dobroczynności 500 rs.

Konkurs. Galicyjski wydział krajowy ogłosił trzeci konkurs dramatyczny na oryginalne utwory sceniczne w języku polskim z zakresu dramatu, poważnej komedyi oraz sztuk ludowych, obejmujących co najmniej trzy akty i zapełniających cały wieczór teatralny. Przyznane będą dwie nagrody: pierwsza w kwocie 1,000 koron czyli 500 złr., druga w kwocie 500 koron czyli 250 złr. Termin wyznaczono na koniec października r. b., prace konkursowe nadsyłać należy pod adresem wydziału krajowego we Lwowie. Utwory, już ogłoszone drukiem, jak niemniej już przedstawione na którejkolwiek scenie, nawet amatorskiej, są wyłączone z konkursu. Nie będą również dopuszczone prace autorów już nieżyjących, chociażby nawet dotychczas ogłoszone nie były. Najdalej w przeciągu czterech miesięcy po upływie terminu odbędzie się rozstrzygnięcie konkursu i przyznanie nagród przez osobną komisyę konkursową. Nagrody przyznane będą dopiero po przedstawieniu przeznaczonych do tego przez komisyę utworów na scenie polskiej we Lwowie lub w Krakowie, a wynik sceniczny stanowić będzie o przyznaniu nagród. Komisya konkursowa rozstrzygnie większością głosów i przyzna nagrody dwom utworom, uznanym za najlepsze.

Odczyty. Dr. Józef Zawadzki wygłosił odczyt o pogotowiu ratunkowem w Warszawie i zagranicą.

— Szereg odczytów popularnych w sezonie bieżącym zakończyli doktorowie: Bartoszewicz o pyle miejskim i Henryk Dobrzycki o stacyach klimatycznych.

Koleje i komunikacye. Pociągi nowej kolei Łukowsko-Lubelskiej z wprowadzeniem letniego rozkładu jazdy, będą szły wprost z Lublina przez Łuków, Siedlce, Małkinię do Ostrołęki i odwrotnie.

— W krótce za pomocą drutów telegrafu rządowego dokonane będą próby telegrafowania pomiędzy Warszawą a Petersburgiem.

Wystawy i zjazdy. Dzienniki petersburskie donoszą, iż japońskie ministeryum przemysłu wysyła do Warszawy, Kijowa i innych miast delegata, który ma urządzić wystawy prób i wzorów.

Przemysł i handel. Projekt ustawy Towarzystwa wzajemnego kredytu w Piotrkowie przesłano władzom wyższym do zatwierdzenia.

Zmarli. Emeryk Ranzoni, w Wiedniu słynny krytyk sztuki plastycznej.

OGŁOSZENIA.

Redaktor i wydawca dr. fil. Al. Świętochowski.

Дозволено Цензурою. Варшава 26 Марта 1898 г. Druk K. Kowalewskiego. Warszawa ul. Mazowiecka, Nr. 8.